

Dekada Literacka

Kraków

23—29. III 1991 r.

Tygodnik

Nr 17

Polak: wieczny rycerz z La Manchy

Rozmowa z Tadeuszem Nowakowskim



♦ IZABELLA BODNAR: —
Przybył Pan do Krakowa z

okazji światowej prapremiery sztuki „Obóz Wszystkich Świętych”, opartej na motywach Pańskiej książki pod tym samym tytułem. W jakich okolicznościach powstała ta niezwykła powieść, o której Tadeusz Nyczek powiedział, że choć groteskowa, jest „nie mniej powieścią realistyczną, a przez to na tyle okrutną, że — obawiam się — trzeba będzie sporej dozy wytrzymałości, aby to okrucieństwo znieść z godnością”...

TADEUSZ NOWAKOWSKI: — Książka powstała w ramach terapii. Po zakończeniu wojny całe moje pokolenie żyło wciąż w jej cieniu. Psychiatrzy wiedzą, co to oznacza, i znają sposoby uwolnienia pacjenta od tragicznej przeszłości. Można się mo-

dić albo uciec do Gwatemali, jak mój przyjaciel, i tam zacząć nowe życie. Ja zacząłem pisać „Obóz Wszystkich Świętych” — opowieść o Polakach przebywających w 1946 roku w Papienburgu, w alianckim obozie „ludzi bez miejsca”.

Wojna... Aresztowano mnie we Włocławku, za „próbę oderwania siłą Wielkopolski od III Rzeszy”. Ojca mego zabito w Dachau. Wojnę przetrwałem w pasiaku KZ-owca i w drelichu więźnia. W Inowrocławiu więziony byłem razem z późniejszym błogosławionym Michałem Kozalem, biskupem, którego nasz papież wyniósł w Warszawie na ołtarze. Potem wywieziono mnie do ciężkiego więzienia dla szczególnie niebezpiecznych

(C.D. NA STR. 5)

E. E. Cummings

*Bóg już pogrzebion, Szatan poniósł śmierć,
lud, zdjęty grozą, czci Szybko acz Podłe;
zło, gdy w nim zbożność jeno dostrzec chcieć,
zowie się w duchu łagodnością, dobrem;
usłuchaj rytmu: wpierw tik, potem tak,
w Plan Pięcioletni zmieniły się Wieki;
Gdy Ból z Radością lichwiarz weźmie w pacht,
któż wtedy zdoła mienić się człowiekiem?*

*precz z marzeń, szelmy karmione cieniami,
twój Harry stał się Tomem, a twój Tom to Dick,
gdy wynalazki mordują się same,
kult Siebie kluje w oczy, czysty czar i szyk;
nadchodzi to, co mam, Nowość i jej szarm,
przez instrumenty zmierzone dokładnie,
jeśli dla mikrofonu Żydowin to parch,
któż się człowiekiem mienić będzie władny?*

*głośno o Prawdę błagali już łgarze,
rab w ordynku się spręży, byle Wolność mieć;
tam, gdzie czci się Glupotę i szaleństwo marzeń,
każdy zbójca podejmie wnet Postępu pieśń;
gdy Dusze są wylękle, w Sercach niemoc tkwi,
bo Serca są ulomne, a Mózgi kalekie;
kiedy grą jest Nienawiść, a Miłość — to ówka,
któż wtedy zdoła mienić się człowiekiem?*

Umaczył: Andrzej Nowak

Z dnia na dzień, z roku na rok

Lato w C.

Jan Prokop

Z tarasu mogliśmy podziwiać na wschodzie grzebień oblodzonych gór, u stóp jezioro, zamknięte ścianą skalną rzucającą cień na wodę. Krajobraz tak doskonały, że budził rozdrażnienie. Czyżby tak działało się, gdy dotknijemy granic naszego świata, gdy jego możliwości zostają wyczerpane, nie już nie trzeba poprawić, wzmocnić, uzupełnić, a jednocześnie jesteśmy uwięzieni w immanencji tego oto świata, niejako usidleni tą immanencją.

SPOTYKALISMY SIĘ W VILLA MARIA DYSKUTUJĄC O PRZYSZŁOŚCI EUROPY, o naukach płynących z wojny, o zadaniach sztuki i innych pięknych rzeczach. Gdy przyszli Rosjanie, grupa teatralna z Moskwy, K. opowiedział wydarzenie z czasów swojej młodości na froncie wschodnim, gdzie walczył jako żołnierz Wehrmachtu. Nie wiem, czy już opowiadał tę historię wiele razy przedtem, czy może zachował dla Rosjan nigdy jeszcze nie wyznana? Rosjanie byli za młodzi, by dać się wstrząsnąć zbyt głęboko, w końcu sprawy, o których mówił, dotyczyły ich rodziców, pewnie dziadków: w izbie muzyka K. zobaczył przedziurawioną kulami koszulę gospodarza rozstrzelanego przez swoich współtowarzyszy. Widok ten pozwolił mu po raz pierwszy — od dziecka był zagrożonym hitlerowcem — odebrać złowrogą zbrodniczość wojny, w której brał udział. Pytałem potem K., co wiedział o ludobójstwie w jego środowisku, żona K. dopowiada, że większość wi-

działa w Hitlerze męża opatrznosciowego i zbawcę ojczyzny.

*

SPOTKANIA, W KTÓRYCH UCZESTNICZYMI OBFITUJĄ W AKCENTY OSOBISTE, świadectwa przeżytych ongiś przełomów czy duchowych zwrotów. Protestancka tradycja ewangelical christians marginalizuje lub całkowicie eliminuje rolę kapłana-przewodnika, każdy sam sobie radzi, na własną rękę czyta Ewangelię i wciela w życie dyskutując, właśnie dyskutując ze współbraćmi. Przejścia religijne są więc komentowane publicznie bez zahamowań, wszyscy czują się powołani do odcyfrowywania „znaków Bożych”. U katolików często ta sfera bywa osłonięta sui generis wstydlivością — o tym się nie mówi z byle kim, tego się nie rozgaduje wobec „profanów”. Oni jednak wołają chrześcijaństwo „przeżywane”, chrześcijaństwo bez ostrego podziału na to co „publiczne” — rytuał, liturgia, i „prywatne dewocje”, zamknięte w sobie, jakże dyskretne?...

Ale nie umiem wyzbyć się wspomnień, owi feldgrau żołnierze, których widywałem pół wieku temu, bez nich czy dąłoby się zbudować Treblinkę i Buchenwald, bez żelaznego muru żołnierskich piersi osłaniających projekty definitywnego uzdrowienia świata drogą rasowej dezynfekcji? Zawiniona niewiedza? Pancerni nie zadawanych sobie pytań o prawomocność wykonywanych sumiennie poleceń?

POŹNĄ MŁODOŚĆ SPĘDZIŁEM NA STALINOWSKIM UNIWERSYTECIE, W KLIMACIE DONOSÓW I POŁOWAŃ NA NIEORTODOKSYJNE CZAROWNICE, czytając Miłosza lub Gombrowicza. Czy byliśmy całkowicie pozbawieni wiedzy o mechanizmach ter-

roru? Jestem pewien, że nie byliśmy. Pragnącym poznać prawdę udawało się dowiedzieć sporo, choć zapewne nie wszystko. Ulegaliśmy zatruciu, nasze reakcje odbiegały od normy jak reakcje dzieci wychowywanych biciem i krzykami. Ale udawało się zachować przytomność nawet w najczarniejszych chwilach.

CZY DLATEGO BYWAM TAK SURROWY W OCENIE BRACI, KTÓRZY SŁUŻYLI BESTII? Różnym bestiom? Niech Bóg nas wszystkich sądzi sprawiedliwie i miłosiernie? Z lat okupacji nie zapamiętałem żadnego ludzkiego gestu ze strony Niemców — mówię nie z zazwziętości, raczej ze zdziwieniem, może miałem pecha? Na pewno inni zapamiętali. Nie doznaliśmy od nich jakichś krwawych krzywd. Wyrzucili nas z domu, nie było to więc ani szczególnie spektakularne, ani okrutne samo w sobie, nowy właściciel nazywał się Held, był prezesem Sondergerichtu, pochodził z Lipska, kazał wyciąć piękne tuje posadzone przez ojca, zapewne bał się schowanych za tujami morderców?

PEWNEGO RANKA NIEMCY WESZLI DO NASZEGO DOMU OCENIAJĄC JEGO WALORY — ogród, położenie w centrum miasta, pamiętam bezosobowy wzrok przesuwający się po ścianach i sprzętach, także po mnie, byłem jednym ze sprzętów, które należało usunąć. Mógłbym to wszystko z łatwością przebaczyć, zwłaszcza że zaraz po „wyzwoleniu” w świeżo odzyskanym domu pojawili się Rosjanie, by zająć go znowu na długie miesiące. Ale chłód, który we mnie trwa, pochodzi nie z tej, w końcu nie najboleśniejszej rany, iluż to ludzi wypędzano w czasie wojny, ale z tego właśnie, że nie udaje mi się odszukać — może przecież był? — tego jednego ciepłego odruchu. Przez cały czas wojny. Ze taka wyrasta ściana nie do przekroczenia między człowiekiem i człowiekiem? Inaczej niż z Rosjanami, z tymi kontakt nawiązywał się nieraz dość łatwo, częstowali herbata, dawali pojeździć na kobyłe stojącej „kwatery” w naszej obórze... Jak to powiedziec K., który wieczorem po swojej „spowiedzi” zaprasza mnie w geście pojednania do stołu. Gawędzimy przyjaźnie, wymieniamy adresy.

*

RZECZYWIŚCIE, WSZYSCY JESTEŚMY USPRAWIEDLIWIENI PONAD ZBIOROWYM CMĘTARZYSKIEM NASZEJ EUROPY... Gen. Jaruzelskiemu zawdzięczam, że polscy żołnierze patrolujący ulice podczas stanu wojennego nosili maskę przypominającą tamtych z Wehrmachtu. Czolgi na skrzyżowaniach, kamienne zmarnięte twarze po drugiej stronie niewidzialnej ściany. Jeśli K. maszerował ulicami mojego rodzinnego miasta przed pół wiekiem musiał na mnie patrzeć i ja musiałem na niego patrzeć przez taką właśnie taflę lodu.

Dolewamy sobie kawy z mlekiem, minęło tyle czasu. Pechowcy, ci co zginęli. Gen. Jaruzelski oto wygłasza przemówienie w katedrze tarnowskiej wskazując na przykład moralny wielkich Polaków, witany przez biskupa tarnowskiego, witany chlebem i solą przez wójta w Wierzechosławicach. Składam kwiaty na grobie Witosa. Czekam, jak dojedzie na Żoliborz, na grób ks. Jerzego, gdzie go powita wzruszony Prymas.

*

Kiedy to obudziwszy się ujrzymy stojącą w drzwiach ODPOWIEDZ NA WSZYSTKIE PYTANIA? Ci, co nas wyprzedzili, bliscy i dalecy, czy stawią się na zbiórkę?

*

LITERATURA POLSKA JEST RZECZYWIŚCIE NIE DO ŻYCIA, te orły i pogonie, sybiracy i katorżnicy, ulani i partyzanci AK ze sztandarami, wieniami, Orderami i Virtuti Militari, sklerotyczni staruszkowie na rencie, pułkownicy kombatanci. Próbuje coś o tym opowiadać sympatycznym chłopcem z Texasu, nazwiskiem Novack i Deshtshinsky, w przekładzie na jakikolwiek rozumny, zachodni, kongresowy język robią się z matki Polki i innych przedmiotów naszej dumy niewyobrażalne gnioty. Rozpity naród sarmatów słusznie pokarany przez Pana Boga rozbiorem, czyniący z klęski powód do dziwacznej megalomanii? Ich prawnuki w Nowym Jorku, Ottawie i Bochum, zamożni, dorodni, przyjeżdżają, przysyłają podarunki do Chocholowa i Kościeliska.

(C.D. NA STR. 5)

Po co ludziom filmy Niespodziewany finał „Konfrontacji“

Adam Garbicz

Bernardo Bertolucci w swym dojrzałym okresie realizuje filmy zbyt rzadko, by stałe być obecnym w pamięci powszechnej amatorów kina. Od dwudziestu lat interesują go niemal wyłącznie przedsięwzięcia wielkie, skomplikowane, niecodzienne i zawsze bardzo indywidualne. To jeden z tych, którzy zmieniają szlaki, wytyczają nowe, burzą granice dozwolonego. Tak jest od OSTATNIEGO TANGA W PARYŻU.

Nie on jeden stawia się na wyniesieniu niezawisłego artysty ekranu, o co dziś doprawdy tak trudno. Ze jednak ostatnio jeszcze trudniej o zgodne kryteria ocen, trafiają się obok niego różni hochsztaplerzy, rujnujący sponsorów w karze za ich snobistyczne ambicje. Inni producenci — na odwrót, zbyt czujni — pętają wodze Pegazom wybitnych osobowości. Przykładów bez liku. A Bertolucci jak bank szwajcarski. Pewny w swej wartości i nie do uszczerbienia. Może z bliska jest inaczej; z daleka wydaje się, że trzyma kurs i niezawodnie osiąga cele.

Właściwie ogół widzów polskich zna jego filmy również tylko z daleka: bez pierwszego wybitnego dokonania, PRZED REWOLUCJĄ (to nie było po linii PZPR), bez największej epopei, WIEKU XX (jak poprzednio), bez następných dwóch filmów poprzedzających OSTATNIEGO CESARZA (bo o

zbożeniach, bo zbyt intelektualne, bo nasi urzędnicy filmowi okazali się nieodpowiedzialni) — i nawet OSTATNIE TANGO W PARYŻU, arcydzieło oczywiście, wystąpiło w charakterze różowej półpornografii w nocnej telewizji i tylko w telewizji, dodajmy że ze ślicznie wykastrowanymi dialogami.

Dobrze można się było przyjrzeć OSTATNIEMU CESARZOWI. Ale to jednak bardziej heroiczne przedsięwzięcie konkwistadorskie niż swobodne dokonanie twórcze; coś specyficznego w temacie, tworzywie, obszarze działania. Jakkolwiek by oceniać rezultat — ja uważam, że to sukces połowiczny — OSTATNI CESARZ nie jest próbnikiem integralnego Bertolucciego. Jest nim natomiast POD OSŁONĄ NIEBA. To znów arcydzieło. Pierwsze arcydzieło kina ostatniej dekady wieku.

Widzowie „Konfrontacji“ z napięciem oczekiwali tego finałowego filmu, budując w wyobraźni jego obrazy z zapowiadanych elementów: odyseja erotyczna; pustynia; milcząca miłość i bezkresne niebo; herbatka (herbatka?! No, tak, włoski tytuł brzmi HERBATKA NA PUSTYNI; podejrzewam, że gdy Bertolucci zgodził się nań, to żartował; Francuzi, których Bóg wciąż za mało strzeże przed nieprzytomnym banałem, zwawo to powtórzyli, po czym Paul Bowles, autor powieściowego pierwowzoru, zrobił awanturę i

ostatecznie w dystrybucji światowej ma obowiązywać piękny tytuł oryginalny). Więc raz jeszcze: pustynia; erotyczny dramat psychologiczny; Debra Winger; fotografia Storaro... To się kroiło bardzo efektywnie, pięknie i nastrojowo.

Cóż, Bertolucciego właściwie nie znamy. Naprawdę bowiem jego kino jest przejmujące tragiczne; prawie zawsze mówi o przemianach, kresie — zwłaszcza o kresie nadziei młodości — i o słabym, samotnym mężczyźnie. Mężczyźnie, którym autodestrukcyjnie miota Eros; mężczyźnie, którego triumfy w sferach władzy okazują się takimi samymi złudami jak intelektualne ucieczki przed miernością i lajdactwami życia społecznego; któremu w poprzek drogi ściera się wciąż dłuższe cienie Tannatosa. Kobieta Bertolucciego jest silniejsza, bo bardziej indyferentna; ona też przegrywa, ale pozostaje, by, po wstrząsie, odkryć, że egoizm i czuine ucieczki przed ryzykiem też nie ocalają harmonii egzystencji.

Z tych właśnie motywów splecione jest POD OSŁONĄ NIEBA. Znalezione zostały w książce Amerykanina z Maroka, młodszego członka klanu Scotta Fitzgeralda i brata duchowego Malcolma Lowry. Oczywiście, że ta literatura to nie „Pod wulkanem”; nie jest to też egzystencjalizm, choć powieść powstała w 1947; ale historią Portia i Kit płynie na tych samych, mrocznych falach, które dziś pozostały już daleko poza głównym nurtem. Zerknięcie się z nimi w Polsce roku 1991, zwłaszcza w kinie, było, zda się, dla wielu przeżyciem nieoczekiwanym. Tym bardziej jeszcze, że niewiele z nas dzisiaj stać na trwonienie kapitału optymizmu i poczucia komfortu, a POD OSŁONĄ NIEBA to dzieło dezintegrujące, chyba zbyt zimne dla młodszego pokolenia, przeszywające smutne, może nawet podatne na oskarżenie o nihilizm.

Na pewno też jednak — dzieło dużo bogatsze niż tylko relacja o klęsce dwójga małżonków w niespiesznej wędrówce przez północną Afrykę próbujących, po 10 latach od ślubu, znów przywró-

cić swą pierwotną bliskość. W powieści tym była nieudana restytucja francuskiej potęgi, skruszonej na tych terenach podczas II wojny światowej; w filmie, co okazuje się dużo bardziej nośne i aktualne, doświadczamy nieprzenikliwości i opozycyjności kultur arabskiej i euroamerykańskiej. Właśnie: doświadczamy. Talent Bertolucciego, w wielu partiach sięgający genialności we współpracy z wizualizmem Vittoria Storaro, sensualnością muzyki Ryuichi Sakamoto i prawdą aktorską Johna Malkovicha oraz Debra Winger, pozwala dotykać wręcz odczuć szczegóły przedstawianego świata.

Ten reżyserski popis udowadnia, kto dziś na czele mistrzów kina. Potwierdzenie znaleźć można, jak sądzić, także w innym aspekcie: wirtuozerkim formalnie poprowadzeniu dramaturgicznym części środkowej, gdy Bertolucci intensyfikuje napięcie w rozpadających się staraniach Kit o pomoc dla Portia.

Co do zdjęć Storaro, to chyba zgodnie z oczekiwaniami są one ponad tę służebność wartością jeszcze odrębną. Od prologu utrzymane w piaszczynowym kolorystyce nie angażują zrazu uwagi, by wybuchnąć olśnieniami tam, gdzie standardowy film zwykł się kończyć, po 100 minutach; tam gdzie zaczyna się druga opowieść, ta o zerzeniu kultury, o zagubieniu się w metaforycznej i rzeczywistej pustyni.

W rzeczy samej, w tych niebywałych pejzażach ulegają zagubieniu również poprzednie wrażenia świadków odysei Kit; i o to chodziło. Także tu Storaro nie dostał licencji na popis (który zaiste powinien mu przynieść czwartego już „Oscara”), lecz prowadzi gre reżyserską. Dopiero w finale wracamy do rzeczywistości świata białych i do komentarzy narratora, czyli autora powieści we własnej osobie, jak niegdyś Iwaszkiewicz czy Konwicki u Wajdy. Prześlanie Bowlesa poznaliśmy jednak już wcześniej, w prologu; nie należy zostawiać czasu samemu sobie. Trzeba pamiętać, że upływa.

Carpe diem, quam minimum credula postero.

Co nowego w prasie?

Powszechna jest dziś opinia o fatalnym poziomie kultury języka w Polsce, o co najczęściej obwinia się mass media.

Qdmienny pogląd ma osoba najbardziej chyba kompetentna, mianowicie prof. Michał Jaworski, prezes Tow. Kultury Języka. W wywiadzie udzielonym tygodnikowi PO PROSTU (nr 11) profesor stwierdza: „poziom kultury języka (...) jest obecnie wyższy niż przed wojną. Język ogólny, język literacki przed wojną ograniczony do środowisk intelektualnych, a więc elitarny w swym charakterze, w dzisiejszych czasach znacznie upowszechniony, rozszerzony. Duża w tym zastęga środków masowego przekazu, zwłaszcza telewizji, które, chociaż w pewnym stopniu zawierają błędy, lansują jednak język ogólny (...) Pod względem poprawności językowej telewizja ma niewątpliwie więcej plusów niż minusów. Wadą telewizji jest natomiast odrywanie młodzieży od czytania: Dzisiejsza młodzież czyta mniej niż przedwojenna, chociaż książka jest dziś o wiele tańsza (...) przed wojną podręcznik szkolny — wypisy z literatury — kosztował 2 zł 80 gr, podczas gdy cena butelki dobrej wódki wynosiła 2,40 zł. Z kolei szkoła ponosi odpowiedzialność za to, że: Mamy gorszą niż przed wojną wymowę. Nie chodzi mi o naleciałości gwarowe, lecz o niechlujną artykulację. Dzisiejsza młodzież nie potrafi wypowiadać zdań w sposób staranny, poparty odpowiednią artykulacją. W szkole zaniedbuje się kształcenie instrumentalne, brakuje ćwiczeń artykulacyjnych...”

POLITYKA (nr 11) drukuje fragmenty dziennika Józefa Teichmy, w latach 70. ministra kultury i członka Biura Politycznego PZPR. Zapiski wydają się autentycznie ówczesne i są b. interesujące jako dokument m. in. „polityki kulturalnej” i świadectwo mentalności najwyższych władz PRL. Np. 31 I 1975: Gierk na BP powiedział, że natychmiast pogratulowałby Wajdzie za film „Ziemia obiecana”, gdyby wyciął dwie sceny pornograficzne. Krasoń dostał polecenie przeprowadzenia rozmowy z Wajdą w tej sprawie; 19 IX 75: Biskup siedlecki zgodził się przekazać państwu odkryty w jego diecezji obraz El Greca (...) za zgodą na budowę kościoła; 7—11 IV 76: Premier prosił o zorientowanie się, czy gdzieś istnieje taka skandaliczna sytuacja jak w Polsce, że państwo nie ma prawa bez zgody reżysera kłaść taśmy filmowej według swego uznania. Ciekawe są też wzmianki o reakcjach władz na maszynopis „Niereczywistości” K. Brandysa oraz na film „Człowiek z marmuru” Wajdy, notatki z rozmów Teichmy z artystami, m. in. z Grotowskim, Stażewskim, Wajdą, z prof. Lorentzem.

TYGODNIK LITERACKI zafundował swym czytelnikom numer erotyczny (nr 1). Dokładnie 10 z dwudziestu kolumn pisma poświęcono obscenicznemu tekstom de Sade'a, Bataille'a, i Klossowskiego, a także artykułom na temat owych autorów, pióra ich tłumaczy. Poczesne miejsce zajmuje obszerny wywiad, jaki red. nac. „TL” Waldemar Gasper przeprowadził z Bogdanem Baniasiakiem — tłumaczem Sade'a oraz prezesem Tow. im. Markiza de Sade'a — jedyne go dziś stowarzyszenia w Polsce, któremu sąd odmówił rejestracji. Wywiad ten, prócz skarg prezesa na oprymację jego stowarzyszenia przez Temide, jest swego rodzaju wykładem na temat filozofii erotyzmu (tytuł brzmi: „Erotyzm i poszukiwanie absolutu”) i dowodzi, iż prezes traktuje tę sferę życia z przynębiającą powagą. J.L.

Trzy razy NIE

Leszek Elektorowicz

Okazuje się, że fenomen Tymińskiego w zakresie patologii życia zbiorowego w Polsce nie był jedynym, który każe zweryfikować skłonne do optymizmu opinie o naszym społeczeństwie. W tym wypadku chodzi o publiczność czytającą. Nie myślę tylko o pozeraczach kryminalnych horrorów, choćby najbardziej grafomańskich, byle pełnych krwi, trupów i strzelaniny. Nie myślę też tuż o pornograficznych romanśidłach czy o obfitującej w goliznę ilustrowanej bibule. Chodzi o nieco inne zjawisko, choć niewątpliwie pokrewne opisanym.

Oto jeden z najbardziej do niedawna nie lubianych przez społeczeństwo (chyba nr 2 na liście peerelowskich prominentów, który swymi publicznymi łgarstwami zasłużył bardziej na sąd niż na własny biznes), robi fortunę na półsatyrycznym, a półpornograficznym piśmie. Na jego rozruch nie zabrakło grosza. Skąd? Wiadomo. Nomenklatura się wyżywi...

Dotąd z niefakim obrzydzeniem prześlizgiwałem się w kioskach po okładce tego organu spod ciemnej (pięcioramienniej) gwiazdy, notując z satysfakcją małe nim zainteresowanie. Alieci dowiaduję się, że ma on dość pokaźny nakład, więc i jakichś czytelników. Oto właśnie ów fenomen à la Tymiński!

Kimże są ci, którzy wydają 2.800 zł za numer, zamiast np. dać je zmarznietemu Cyganikowi? Zapewne większość z nich to publika postpepetperowska, zlakniona wiadomości o tym, że gdzieś się coś nie udaje bądź że ktoś się utaplał w nagromadzonej od 45 lat błotku. Choćby nawet wiadomość ta miała być zwykłą mistyfikacją. Dalsi czytelnicy to — obeznana ze słowem pisaniem — część elektoratu Ty-

mińskiego. „Świętym psom” urosły Urbanowe uszy! Zdumiało mnie jednak, kiedy parę osób, które podejrzewałem o lepsze gusty, przyznało z lekkim zażenowaniem, że czytują czasem „NIE”. W czym rzecz?

Pismidło to otoczyła jakaś mroczna aura zakazanego (choć gnijącego) owocu, który roztacza wokół siebie niemylący odór zwabiający różne „żywiolki drobniejszego plazu”. Być może dla niektórych lektura Urbanowego organu jest równie infantylną perwersją, jak ukradkowe palenie tytoniu w smrodzie szkolnego wychodka. Ma i o dór swe powaby. Dla zaspokojenia jednak mojej ciekawości zapytałem inteligentnego skądinąd czytelnika „NIE”, co skłania go do tak ewidentnej straty czasu i pieniędzy.

— Cokolwiek by się powiedziało — odrzekł mi — to nie-za robota redakcyjna.

— Wątpię — ja na to — ale i tak: czy dobra robota jako kryterium wartości sprawdza się np. przy zajęciach wstamywacza, dolinarza, lub szpicla? Podejrzane są też — mówię — źródła informacji Urbana.

— Czy to nieobojętne — czytelnik ów mi odpowie — skąd czerpie się informacje?

— O, nie, mój drogi! — wykrzyknę. — Podobnie, jak nie jest to obojętne, skąd bierze się pieniądze: z uczciwej pracy, czy z kradzieży, stręczycielstwa lub handlu narkotykami.

Okazuje się przy tym, że b. rzecznik ma nie tyle jakichś sprzymierzeńców. Oto „Gazeta Krakowska” z 8 marca br. przyniosła wiadomość, że pani Weronika Kozakiewiczowa udośćpełniła. Kiedyś komnaty swego męża dla sfotografowania roznegliżowanych dziewcząt jako rzekomych przyja- ciółek marszałka Sejmu, który to żart przez tegoż został przyjęty — czemu trudno się

dziwić — z tępnym niezrozumieniem...

W rezultacie postanowiłem się bliżej przyjrzeć periodykowi, Papier — w istocie — znakomity. Są i kolory. Tyle, że owe kolory na białej kredzie wyglądają jak szminka na twarzy nieboszczyka. Szczególnie, jeśli się ujmuje „NIE” w kontekście historycznym. Jest to bowiem enklawa pogrobowców stanu wojennego. Oprócz jego rzeczownika, zajmującego pół numeru, gęsto występuje tam znany nam mundurowy prezydent TV Marek Barański, który np. przeprowadza wywiad z Tymińskim (dobrana para), zaś w innym miejscu biada, ile nasz kraj kosztował będzie tegoroczna wizyta Ojca Świętego. Szkoła, że nie obliczył 45-letnich wydatków PRL na coroczne święta 1 Maja, 22 Lipca, różne święta partii, „Trybuny Ludu” i innych organów PZPR, na rocznice „wyzwolenia” i tym podobne niezliczone czerwone celebracje.

Na pierwszej stronie tegoż numeru, obrazek nagiej kulturytystki z uwiązaniem do paska fallusem. W swym felietonie Urban martwi się sympatią Polaków dla USA konkludując logicznie, że „nie od rzeczy byłoby nowe Gulagi”. Oto co się Urbanowi marzy! Ponieważ nie mam zamiaru streszczać tu równie celnych też innych artykułów, zacytuje same tytuły: „Areszt na cyp” (tekst obfitujący w najordynarniejsze wyrazy), „Gówno na wizji”, „Przyśpieszanie na gole cucky” itp. Dowcipne? Tyleż, ile podobne w treści napisy na ścianach publicznych szaletów. Mają one swych czytelników. Podobnie jak „NIE”.

A teksty Urbana przypominają dluhanie w nosie i oglądanie wydobytej zawartości. Jednego to bawi, innego — brzdąci.

Mężczyzna z laską

Teresa Truszkowska

O zmroku, gdyienne światło przygaśnie, a słońce zajdzie za wysokimi murami z czerwonej cegły, miasto przybiera nierzeczywisty wygląd. Cienie zaludniają wówczas kręte zaułki i nisze pod arkadami, jakby jego mieszkańcy ustępowali miejsca innym, przybyszom spoza czasu.

Najbardziej niepokojące są jesienne wieczory, gdy w parku sterczą palce drzew odarte z rękawic liści. Pojedyncze czarne listki drżą na wietrze rzucając na ziemię cienie, tworząc jakby balet niewidzialnych rąk; opadłe listowie wydziela ostrą, przenikliwą woń śmierci. Wciągając tę woń do głębi płuc, rozkoszujesz się przecuciem tego co nieodwołalne. Kałuże odbijają migocący blask niewidocznych, zasnutych dymem gwiazd. Idziesz dalej; poszum gałęzi, plamy światła na zrudziałej trawie po bokach alei. Noc gęsta i oleista, wciąga, roztopia się jak w czyichś ustach. Nie widzisz konturów własnego ciała, nie czujesz rozgraniczenia między ciemnością a sobą. Odnosisz dziwne wrażenie, że część twej świadomości istnieje poza tobą i zawieszona obok, jakby całkowicie niezależna od ciebie, niemal obca i wroga.

Takim to uczuciom poddawałem się spacerując późnym wieczorem po mieście. Szedłem wzdłuż alei wysadzanej kasztanami, potem skręcałem w lewo, okrążyłem rynek, pusty o tej porze, i znów zawracałem aleją prowadzącą do wąskiej uliczki. Tam znajdowała się stara kamienica, w której mieszkałem na drugim piętrze. Okna mojego mieszkania wychodziły na ulicę, tylko okienko sypialni było od strony małego zachwaszczonego podwórka, z paroma starymi jabłoniąmi, których koślawe gałęzie przybrały kształt krepkich ludzkich postaci.

Pewnego wieczoru mój wzrok przykuł starszy człowiek wspierający się na metalowej lasce. Był niski i poruszał się z trudem. Za każdym

krokiem przerzucał ciężar całego ciała do przodu i ponownie opadał na laskę. Posuwał się jakby skokami, które wprawiały w drżenie całe jego wiotkie starcze ciało. Widać było, że poruszanie przychodzi mu z największym trudem. Gdy zbliżył się do mnie dostrzegłem jego oczy, czarne i zapadnięte w głąb



Rys. WACŁAW KLAG

czaski. Przez chwilę oczy te wpiły się we mnie, aż dreszcz przeniknął mnie do szpiku kości. I w tej samej chwili mignął mnie; znów pochłonęła go ciemność.

Nazajutrz spotkałem się z nim, mniej więcej w tym samym miejscu. I znów przeszedł obok mnie bez słowa, przesyłając przenikliwym spojrzeniem, jakby chciał o coś zapytać. Od tamtego wieczoru spotkanie z mężczyzną z laską stało się niezmiennym elementem moich codziennych wędrówek po mieście.

Po kilku tygodniach zauważyłem, że mijam się z tym mężczyzną coraz wcześniej. Co wieczór znajduję go bliżej swego domu.

Po miesiącu spotykałem go już w momencie, gdy zawracałem cieniutką aleją ku domowi. Tydzień temu czekał na mnie na rogu mej uliczki. Co wieczór skraca się dystans czasowy między mną a nim, a przecież mam podstawy przypuszczać, że nasze czasy nie nakładają się na siebie, skąd więc to zbliżenie i przyspieszenie? Każdy człowiek ma przecież swój indywidualny czas między narodzinami a śmiercią. Nieraz te czasy przecinają się.

Ten człowiek niepokoi mnie. Nawiedza nawet moje sny. Zawsze milczący, z kamienną nieruchomą twarzą patrzy na mnie z wyrzutem. Tak też jest we śnie. Cóż mu zawiniłem? Dlaczego i o co mnie oskarża?

Przedwczoraj niemal otarłem się o niego o parę kroków od mej kamienicy. Wczoraj już był przed bramą. Dziś pewno spotkam go na schodach. Z matematyczną dokładnością można obliczyć tempo jego zbliżania się. Co będzie, gdy pojawi się w drzwiach mojego mieszkania? W moim pokoju? Cóż mu powiem? Jak się usprawiedliwię?

Siedzę w mieszkaniu i nastuchuję jego utykających kroków i stuków laski na schodach, coraz bliższych. Już za chwilę tu wejdzie. Czuję, że wypadam z czasu. Czerwone kręgi przed oczyma, ucisk w klatce piersiowej.

Stuk, stuk — monotony, nieunikniony. Jestem sam. Przycmione światło. Bezksiężycowa noc za oknem. Kiedy to się skończy?

Moje zapadnięte oczy stawiają to samo pytanie. Ciemna czeluść bramy, z której bucha woń stęchlizny i gotowanej kapusty. Kręte nierówne stopnie. Żelazna balustrada chropowata od rdzy. Idę ciężko po schodach i wiem, że nikt tam na mnie nie czeka. Stuk, stuk — uderzam metalową laską o stopnie. Wlokę swe ciało po nieskończonej ilości schodów. Wyrzucam ciało do przodu, podciągając się na rękach. Ból rozsada zebra. Mgła przysłania oczy.

Wiem, że za chwilę on pojawi się tutaj, jak Bóg tak samo z mozołem wspinający się po schodach tej obskurnej i źle oświetlonej kamienicy.

ODWIEDZINY

Barbara Czałczyńska

W naszej rodzinie nie było tradycji częstych spotkań. Mówiło się, że to bez sensu siedzieć komuś drugiemu bez przerwy „na głowie”. Odwiedzano się też raczej rzadko i to tylko przy jakichś rodzinnych okazjach. Takimi najczęstszymi okazjami były imieniny, na które przychodziła nie zapraszana cała bliższa i dalsza rodzina. Imieniny stawały się więc rodzinną gieldą, na której wszyscy się spotykali a o nieobecnych można było zasięgnąć informacji.

Starsze panie na boku szeptały sobie o rozmaitych rodzinnych skandalach, dziwno się, że któryś z kuzynów — do niedawna mały chłopiec — jest już dorosły i to ho, ho, nawet po studiach, a pewno niedługo się już ożeni! Młodsza generacja chichotała po katach, a dzieci upychano do osobnego pokoju, żeby nie przeszkadzały starszym w rozmowie. Dzięki tym spotkaniom wszyscy byli na bieżąco poinformowani, co u kogo się dzieje. Nie było też w tradycjach rodzinnych specjalnych czułości. Wszelkie wybuchy uczuć przyjmowano z zażenowaniem, jakby ktoś odstąpił publicznie wstydlive części ciała.

Jadwiga pojawiała się zawsze na tych rodzinnych spotkaniach pogodna, uśmiechnięta, starannie ubrana. Nie wdawała się nigdy w rodzinne plotkarstwo, skandale traktowała z politowaniem, a na pytania dotyczące własnej osoby odpowiadała krótko i rzeczowo. Nigdy nie przychodziła zbyt wcześnie i nie przeciągała ponad miarę swoich wizyt. Cieszyła się sympatią i poważaniem całej rodziny. Nie od rzeczy była opowiadana o niej przez wszystkich dykteryjka: otóż Jadwiga, która była nauczycielką, została kiedyś upomniana przez dyrektora szkoły, że jest zbyt uprzejma dla uczniów. Jadwiga odpowiedziała na to spokojnie: „Bardzo przenaszam, że jestem tak dobrze wychowana”.

I teraz też Jadwiga usiłuje podnieść się z łóżka witając się ze mną, przytrzymując ją więc ostrożnie, bo każdy jej nieostrożny ruch może spowodować upadek. W niezrozumiałym bełkocie, który wydobywa się z jej ust, jestem w stanie rozróżnić słowo „rzadko”, co upewnia mnie, że Jadwiga mnie poznała. Słowo „rzadko”, nie jest w ustach Jadwigi wymówką, lecz raczej brzmi jak wesołe „oż za rzadki gość”, Jadwiga mówi teraz coś dużo i szybko, ale z potoku wymowy nie udaje się już wylapać żadnego zrozumiałego słowa. Spoglądam na sąsiednie łóżko, na którym leży gładko uczesana kobieta. Szeroko otwartymi oczyma spogląda przed siebie.

— A panią ktoś odwiedza? — pytam sama nie wiedząc dlaczego.

Odpowiedź przychodzi do mnie z drugiego końca sali:

— Przychodził do niej siostrzeniec, ale jak został dyrektorem to przestał przychodzić. Nie ma już czasu dla starej. Ważny się zrobił.

Leżąca nieruchomo kobieta wyrzuca przed siebie w przestrzeń:

— Jak miałam siły dla niego harować to miał dla mnie czas. Niech będzie przeklęty po wiek wieków.

— Może jej czegoś potrzeba? — pytam znowu.

— A cóżby jej było trzeba? Jesteś już nie może. Niedługo już jej do końca. Słyszysz znowu czyjeś objaśnienia.

W otwartych drzwiach sali staje gruba kobieta w szlafroku, wyciąga do mnie rękę i usiłuje dotknąć mojego ubrania. Jadwiga krzywi się z odrazą, a ktoś woła:

— A pójdziesz ty sobie!

Kobieta wycofuje się z sali tyłem, cały czas przygląda mi się uważnie. Ktoś mówi:

— Namolne to takie, do każdego się przepięci.

Jadwiga jakby zrezygnowana usiłuje odpiąć guzik od swetra, a potem jednostajnym ruchem, ściągając z siebie pończochy.

— Pani — słyszę z sali. Kobieta, która dotychczas zwracała się do mnie jakby bezosobowo zwraca się teraz wprost. Widzę ją jak przechyla się przez poręcz stojącego po drugiej stronie sali łóżka. — Pani — powtarza — ta tutaj to chyba nie miała ciężko w życiu. Ma siłę wrzeszczeć po nocy tak, że innym spać nie daje. Woła jakichś po imieniu. Jeden to jej syn co tu przychodzi, a Tadeusz to ten co za granicą. Karol to brat. A Jasia to kto?

— Jasia to ja — mówię i nie wiem czemu robi mi się ciepło na sercu, że Jadwiga zachowała w mrocznych zakamarkach pamięci moje imię.

— Ech! gdzież tam ona miała lekko w życiu — ciągnę dalej — mąż zginął w czasie wojny w obozie, została sama z matką i dwójkiem dzieci. Trzeba ich było utrzymać, a w swoim zawodzie nie mogła pracować. Łapała każdą możliwość zarobku.

Przypominam sobie Jadwigę z tamtych czasów. Kiedy dowiedziała się, że jej mąż już nigdy nie wróci, przez parę dni leżała w łóżku patrząc przed siebie i do nikogo się nie odzywając. Jej matka każdemu przychodzącemu nakazywała ciszę. A po kilku dniach Jadwiga wstała i zabrała się do roboty. Przepisywała na maszynie, robiła na zamówienie swetry. Nigdy nie widziało się jej siedzącej bezczynnie. Nigdy nie słyszało się od niej słowa skargi. Uśmiechała się tylko rzadziej. Dzieci — mówiła — muszą mieć normalne życie. dwa miesiące w roku wakacji i studia skończone we właściwym terminie. To jest dla mnie najważniejsze. Reszta to drobiazgi.

W tej chwili Jadwiga pochyła się niebezpiecznie do przodu, chwytam ją za rękę a ona wyciąga skądś kolorową widokówkę. Niebieskie niebo, kolorowe parasole, w dali pokryte śniegiem pasmo gór.

— To od tego syna z zagranicy — objaśnia sąsiadka.

Jadwiga obraca kartkę na wszystkie strony, przesuwa palcem po kolorowej powierzchni, mówi: — „To, to... A potem z jakimś dziwnym zapamiętaniem drze ją na drobne kawałki. Usiłuję jej wyjąć kartkę z ręki, ale ona woła teraz całkiem wyraźnie: Nie, nie...”

— Czasami to ona tak woła, że głośnie — dobiega do mnie znowu głos z naprzeciwka.

— Może jej coś przynieść do jedzenia? — pytam zaniepokojona.

— Ale gdzież tam. Ma dosyć. Niech jej pani nic nie przynosi. Naję się a potem się cała ufajda. Wczoraj to trzeba było aż ścianę myć tak się ubrała.

Spoglądam na stolik, na którym leżą pieluchy z surowego płótna. Gdybyż były przeznaczone dla nowo narodzonych! Ileż by tu było koronek, atlasów, czułości i starania w każdym skrawku materiału. Tym, którzy już przeżyli swoje życie, to wszystko się już nie należy.

Po korytarzach w oczekiwaniu na śmierć snują się widma, które czas pozabawił imion, nazwisk, przeszłości i przyszłości. Patrz na nas przychodzących tutaj pustymi oczami. Nie ma w nich ani odrobiny zainteresowania dla toczącego się dalej życia. One wiedzą, że my też, czymkolwiek byśmy byli, też któregoś dnia zawitamy do tego przedśionka śmierci.

Zegar wybija godzinę szóstą. Koniec odwiedzin. Wysuwamy się z sali jak winowajcy. Za nami biegnie rozdzierający krzyk. Po raz nie wiadomo który powtarzamy w myślach: Małe mieszkanie. Wszyscy idą do pracy. Skąd wziąć na ten czas opiekę? Kogóż z nas stać na opłacenie pielęgniarki? Wychodzimy na ulicę, wracamy do swojego życia, w uszach dźwięczy nam to straszliwe wołanie o pomoc, na które nie umiemy odpowiedzieć.

W 85. rocznicę urodzin Profesora

Karola Estreichera (1906-1984)

Krakowianin z krwi

i kości

Michał Rożek

Rodzina Estreicherów od zara-
nania ubiegłego stulecia bez re-
szty wrosła w kulturę Krakowa,
poświęcając temu królewskiemu
miastu wszystkie siły, szczególnie
zaś Uniwersytetowi Jagiellońskiemu.

Jeden z najwybitniejszych przedsta-
wicieli tej rodziny — rektor UJ STA-
NISŁAW ESTREICHER — tak przed
sześćdziesięciu laty charakteryzował typ
psychiczny krakowianina: „nie ma w
sobie energii, ruchliwości, wesołości i
żywości warszawskiej. Nie ma w so-
bie temperamentu i rozczochrania wła-
ściwego ludności lwowskiej. Nie ma
powagi i surowości poznańskiej. Od-
znacza go kultura intelektualna, pole-
gająca na krytycznej powściągliwości,
na braku skłonności do wybuchów i do
emocji Krakowianin wzięty zarówno
w odosobnieniu, jak i w tłumie ma da-
leko większą skłonność do krytycyzmu
i sceptycyzmu, aniżeli się go spotyka
w reszcie Polski. Jest chłodny i rzad-
ko oklaskujący to, co widzi w teatrze
lub to, co słyszy na wiecu. Ma wysokie
wymagania i nietatwo czem się raduje.
Swoi i obcy gania w nim wskutek
tego chłód, wybredność, czy zólciowość
— ale podnoszą i dodatnie strony tej
wady. Przedsięwzięcia artystyczne czy
naukowe wyższej miary nieraz znaj-
dowały w Krakowie swą publiczność,
jakiej nie znalazły w innych miastach”.

Zaprzeczeniem tej definicji krako-
wianina był ów krakauer z krwi i kości
— prof. UJ KAROL ESTREICHER
(jr.). Ta niezwykła osobowość, wywołu-
jąca żywe wspomnienia i uczucia skła-
nia do refleksji, tym bardziej, że w
tym roku przypada 85. rocznica Je-
go urodzin. W dziele życia ostatniego
z głównej linii Estreicherów Kraków
urastał do naczelnego imperatywu
działania, a związana z tym pasja ba-
dawcza i popularyzatorska zaważyła
na curriculum vitae Profesora. Zaczę-
ło się od rodzinnego domu, w którym
intelektualna atmosfera oraz liczne
kontakty literackie i naukowe były
czynnikami kształtującymi osobowość
młodego Karola. Przyszedł na świat w
Krakowie 4 marca 1906 roku. Był sy-
nem Stanisława, słynnego prawnika i
Heleny Longchamps de Berier. Dzia-
dem ze strony ojca był Karol, twórca
bibliografii, a babką Stefania z Gra-
bowski, córka znanego miłośnika Kra-
kowa i badacza tego miasta, Ambro-
zego Grabowskiego.

Pochłaniał Go Kraków

Od dzieciństwa pochłaniał Karola
Kraków, fascynujący także jego
bepośrednich przodków. Jest to
bowiem miasto, które kochali wszyscy
Estreicherowie, oddając mu serce i du-
szę. To Kraków przedstawiał dla nich
esencję polskości, miasto historii, wy-
rażającej naszą tożsamość narodową.
Zadecydowało to o wyborze kierunku
studiów. Wybrał historię sztuki. Po
kilkudziesięciu latach powiadał z du-
mą, że „przez zabytki można przywo-
łać historię, ucząc wizualnie narodo-
wych dzieł”. Już w czasie studiów
zastanawiał prawdziwie estreicherowską
wszechstronnością zainteresowań. Rów-
nież od wczesnej młodości chłonał
atmosferę Krakowa, studiując z bo-
gątej domowej biblioteki meandry
dziejowe tego miasta. Kształtowała się
u Karola autentyczna pasja badawcza.

Rok 1931 ugruntował pozycję młode-
go badacza. Wtedy ujrzał światło dzien-
ne przewodnik po Krakowie, pióra Ka-
rola Estreichera. Wstawił jego autora,

stając się na wiele lat (miał w sumie
aż trzy wydania) niezrównanym prze-
wodnikowym opracowaniem kultury
Krakowa. Przypomnieć należy, że przez
lata Karol Estreicher będzie z pełnym
poświęceniem szkolił przewodników po
Krakowie. Niebawem przyszły następ-
ne prace, w tym na łamach „Przeglą-



Fot. LESZEK DZIEDZIC

du Współczesnego” (1935) rozprawa do-
tyczająca grabieży skarbcza koronnego
przez Prusaków w roku 1795. Udowod-
nił, że insygnia nasze raz na zawsze
przepadły. Raz jeszcze powrócił do te-
go tematu podczas wojny, publikując
broszurkę pt. „The Mystery of the Po-
lish Crown Jewels”.

Nie sposób omówić wszystkich roz-
praw przedwojennych młodego uczone-
go, ale na jedną pracę trzeba zwrócić
uwagę. Otóż wytrawna znajomość kul-
tury staropolskiej pozwoliła Estreiche-
rowi na podjęcie współpracy z ALEK-
SANDREM BRÜCKNEREM, który na
krótko przed drugą wojną światową
podjął się stworzenia „Encyklopedii
staropolskiej”. To właśnie erudycji
Estreichera zawdzięczamy doskonałą
szatę ilustracyjną tego wiekopomnego
dzieła, a ilustracja stała się w kon-
cepcji autorów dopełnieniem integral-
nym tekstu.

Nie był uczonym gabinetowym

Estreicher nigdy nie należał do uc-
zonych gabinetowych. Był zawsze
człowiekiem czynu, co determino-
wała żywa natura. Na krótko przed
wybuchem wojny stoczył bój o urato-
wanie dla Krakowa bezcennych śred-
nowiecznych obrazów z klasztoru Au-
gustianów, którzy zabytki zamierzali
sprzedać do Warszawy. Wrzesień 1939
roku zastaje Profesora w Krakowie.
Nadchodził czas działania. Okres woj-
ny odsłonił Estreichera — człowieka
bezkompromisowego, ratującego wy-
trwale zabytki naszej kultury. Jeszcze
w sierpniu zdołał zdemontować figury
ołtarza mariackiego Stwosza, jakby w
przewidywaniu przyszłej grabieży. Po
odbyciu kampanii wrześniowej podcho-

raży Karol Estreicher przedostał się na
Węgry, skąd podążył do Francji gdzie
związał się z gen. Władysławem Sikor-
skim. Zaczynała się największa przy-
goda życiowa Estreichera. Walka o pol-
skie mienie kulturalne. Nie sposób w
pełni opisać Jego zasług w tej mierze.

W roku 1940 podjął decyzję o wy-
wiezieniu z Francji arrasów wawelskich
i skarbcza koronnego. Przewozi je oso-
biście do Anglii, a dalej płyną już za
ocean, do Kanady. Bez przerwy groma-
dzi wszelkie informacje o zagrabionych
przez Niemców polskich zabytkach,
tworząc katalog strat kulturalnych Pol-
ski. Nie rzucił przy tym pisanie, za-
wsze z nostalgią wspominając ukocha-
ny Kraków. W Paryżu drukował arty-
kuły w „Wiadomościach Polskich”, a
potem już w Londynie pisywał felieto-
ny do „Nowej Polski”, którą redago-
wał przyjaciel Antoni Słonimski. Z no-
wel drukowanych na łamach „Nowej
Polski” powstał pelen orokom wspom-
nień pt. „Nie od razu Kraków zbu-
dowano”. Odżyły chwile z dzieciństwa,
rodziny dom, pelen historycznych po-
staci, a nade wszystko Kraków, tak
bardzo odległy, a tak bliski sercu. Wie-
dział, że ojciec zginął w obozie kon-
centracyjnym. Umarła też matka. Zgi-
nęło wielu przyjaciół. To w Londynie
pogłębił przyjaźń z Ksawerym Pruszyń-
skim, któremu podsunął kanwę opowia-
dania o trębaczach z Samarkandy. Ta,

odnajdzie skarbiec UJ, obrazy z Mu-
zeum Czartoryskich; niestety zaginął
Rafał. 30 kwietnia 1946 roku powrócił
do Krakowa, przywożąc z Norymbergi
transport dzieł sztuki wraz z arcydzie-
łem Stwosza. Wkrótce opuszcza Polskę,
by nadal tropić nasze mienie kultural-
ne. Odnajduje skarbiec katedry gnieź-
nińskiej, gobeliny z katedry wawel-
skiej, obrazy Canaletta. Ten rejestr
można by jeszcze dopełnić niejednym
znakomitym dziełem sztuki.

Profesura

W umiłowanym Krakowie osiadł na
stałe dopiero w 1947 roku. Rozpoczęła
się kariera profesorska Karola Estrei-
chera. Podjął wykład z historii sztuki
na krakowskiej Akademii Sztuk Pięk-
nych, Wyższej Szkole Sztuk Plastycz-
nych we Wrocławiu i rzecz jasna na
UJ. Tutaj uzyskał habilitację, a potem
profesurę. W swoich wykładach posłu-
giwał się zawsze Krakowem jako ma-
terialem ilustracyjnym, dającym pod-
stawowe wyobrażenie o problemach
historii sztuki i kultury polskiej. Teraz
w pełni ujawnił się drapieżny tempera-
ment Karola Estreichera. A nie był
człowiekiem łatwym we współżyciu z
ludźmi.

Ostatnim wielkim dziełem życia sta-
ło się Collegium Maius UJ — odbu-
dowa, adaptacja i urządzenie Muzeum
Uniwersyteckiego. Powołał Karol Estrei-
cher stawał się swoistego rodzaju in-
stytucją, działającą samodzielnie w łonie
uniwersytetu i obok niego, bo i tak by-
wało. Lubił od najmłodszych lat wal-
kę. Była wszak jego żywiołem, czyn-
nikiem konstruktywnym. O koncepcję
Collegium Maius przyszło mu toczyć
nie jeden bój. Nie zawsze zresztą miał
rację. Niemniej z obranej drogi nigdy
nie zawracał. Profesor przywrócił wed-
le własnej wizji dawny wygląd sal
uniwersyteckich, czy profesorskich mie-
szkań. Nie obyło się przy tym bez wo-
jen i zatargów personalnych. Ale to
lubił, uważając, że Kraków „jest jak
potok górski, pełen kamieni, które oka-
leczą człowieka, lecz wyjdzie z tego ca-
ło”. Pasję włożył w Muzeum UJ, bę-
dące bez najmniejszej przesady autor-
skim dziełem Profesora, zrodzonym z
niczym nie skrepowanej wizji Karola
Estreichera.

Po trudach tworzenia nie wybrał od-
poczynku. Prezesował przez lata Towar-
zystwu Przyjaciół Sztuk Pięknych,
któremu zapisał cały majątek. Prze-
wodniczył Komitetowi Opieki nad Kop-
cem Kościuszki, redagował „Rocznik
Krakowski” i dużo pisał. Jednak nadal
walczył, tym razem o Kraków, z pre-
medytacją niszczonej przez ówczesne
władze.

Lis i lew

Teraz pasją Karola Estreichera sta-
ło się ratowanie Krakowa. Mocuje
się z decydentami o każdą sprawę,
nie przebierając w środkach. Impo-
nuje siłą argumentacji. Nie zraża się
niczym, mimo że okrutne życie nie
szczędziło mu trosk i gorzkich chwil.
Jedynym remedium na troski jest prze-
cież działanie, piarstwo, zwłaszcza w
ostatniej chwili, gdy nieuleczalna cho-
roba zaczęła trawić organizm. Cały
czas walczy. Nie kapituluje wobec bez-
duszności przepisów i służalczo respek-
tujących je głupich urzędników. Broni
w Krakowie każdego zabytku. Niepo-
kój go narastające dyktando młodych
architektów i historyków sztuki,
którzy powierzchowną wiedzą niefrasob-
liwie niszczą niejedną zabytek. Za-
wsze służył swoją niepowtarzalną eru-
dycją, bogactwem skojarzeń i przemy-
śleń. Mówił głośno i odważnie prawdy,
które nieraz się nie podobaly. Daleki
był od ugodowych postaw, które z grun-
tu tepł, choć nieobca mu była ma-
kiawelowska zasada, iż „między dwie-
ma siłami trzeba być lisem i lwem”.

Stanowił Karol Estreicher wielką
osobowość ze wszystkimi ułomno-
ściami natury ludzkiej właściwymi
nietuzinkowym postaciom. O Karolu
Estreicherze można by wiele napisać.
Usłyszeć rozmaite opinie. Miał w so-
bie coś sarmackiego, skupiając w ma-
lowniczy sposób wszelkie możliwe prze-
ciwienstwa. Porywczy, ostry, bezkom-
promisowy, nie cierpiący służalstwa i
pochlebstw, ceniący cywilną odwagę i
słowną szermierkę. Napawający sym-
patią, a niekiedy i strachem.

Karol Estreicher życie bez reszty od-
dał kulturze polskiej, której zawsze
bronil przed zakusami swoich i obcych.
Uważał Kraków za pars pro toto na-
szej kultury i tego miasta bronil bez-
kompromisowo. Pozostawił po sobie
prace pogłębiające wiedzę o dziejach
Krakowa oraz legendę, otaczającą Pro-
fesora jeszcze za życia.

jakże krakowska w swej wymowie no-
wela, tak wiele zawdzięcza Estreiche-
rowi.

Odzyskał dla nas...

W maju 1945 roku zakończyła się
wojna. Przed dojrzałym Karolem sta-
nęła konieczność wyboru: powrót do
kraju i wpisanie się w nową — jakże
jeszcze nieznaną rzeczywistość, czy emi-
gracyjny chleb. Opowiedział się za pier-
wszym. Chciał przede wszystkim po-
wrócić do Krakowa. W lipcu 1945 ro-
ku leci samolotem przez Berlin do
Warszawy. Po drodze widzi smutny
obraz. Same ruiny. Warszawa w gru-
zach. Na całe szczęście Kraków stoi.
Te same ulice, zaułki. Lecz tutaj oso-
biste straty. Rodzice nie żyją. Jest je-
szcze siostra Krystyna Grzybowska.

Walka o zabytki

Mianowany przez nowe władze de-
legatem do spraw rewindykacji
wraca do Londynu, by podjąć
niezwykłą akcję restytucji naszych
dóbr kulturalnych. Upřednio skatolo-
gowane materiały okazały się teraz
prywatne. Dzięki życzliwości aliantów,
znajomości języka angielskiego i nie-
mieckiego, udaje się do amerykańskiej
strefy okupacyjnej, nieustannie śledząc
los polskich zabytków. Oczywiście naj-
bliższe sercu są straty Krakowa: ołtarz
Stwosza, skarbiec uniwersytecki, obra-
zy Rafała, Leonarda i Rembrandta z
Muzeum Czartoryskich. Tu ujawnił się
sarmacki temperament Estreichera, któ-
ry w żadnym wypadku nie dał za wy-
graną. Wyklóca się z alianckimi histo-
rykami sztuki, nie zawsze skłonny
oddać Polsce jej zabytki, naraża się
emigracji. Zresztą konfliktów nie bra-
kowało. Dzięki informacjom Emeryka
Hutten Czapskiego i Johna N. Browna,
dowiaduje się o miejscu ukrycia ołta-
rza mariackiego Stwosza. Niebawem

Polak: wieczny rycerz z La Manchy

Rozmowa z Tadeuszem Nowakowskim

(C.D. ZE STR. 1)

przestępców politycznych — do tzw. przechowalni gestapo w Zwickau.

„Obóz wszystkich świętych” pisałem w latach 1953—54, w Monachium, gdzie zjawiałem się jako kierownik działu literatury Radia Wolna Europa. Książkę wydała paryska „Libella” państwa Romanowiczów, oficyna wydawnicza dziś znajdująca się na Wyspie Św. Ludwika.

◆ Część nakładu potajemnie trafiła do Polski. O małe nie wydano Pańskiej powieści u nas w mrocznych latach 50.

— Wydania „Obozu” podjęła się Irena Szymańska — żona Ryszarda Matuszewskiego — pracująca wówczas w PIW. W 1959 roku podpisałem z PIW umowę. Unieważniono ją jednak, a skład książki rozrzucono — na polecenie pani Zaorskiej. Irena Szymańska otrzymała nagana na piśmie. Później Bohdziewicz chciał kręcić film na podstawie „Obozu”, ale KC to uniemożliwił, choć „Obóz” tłumaczono na 9 języków, nawet na japoński i niderlandzki.

◆ No i odniósł Pan sukces w Niemczech Zachodnich...

— Po raz pierwszy w dziejach stosunków polsko-niemieckich uhonorowano tam polskiego pisarza Nagrodą Związku Pisarzy Niemieckich. Pewien pan z Krakowa tak to skomentował: „Za 30 srebrników Nowakowski zohydził polskość”. Z kolei pewne ugrupowanie niemieckie zaatakowało fundatorów nagrody za to, że... poparli agenta Gomulki. Cóż, wreszcie się ktoś urodził, kto nikomu nie dogodził.

◆ W Polsce „Obóz” ukazał się najpierw w II obiegu, teraz wydał tę książkę „Czytelnik” i — mimo braku reklamy — zniknęła z półek. Jak jest smak sukcesu dla pisarza, który we własnym kraju wydaje książkę po 40 latach od jej napisania?

— To jakby ekshumacja za

życia. Próba wskrzeszenia siebie. Już Faulkner powiedział, że owoce z drzewa rozgłosu trzeba zjadać, póki się ma zdrowe zęby. Uznaje, które przychodzi za późno...

◆ ...to inna radość? Inna satysfakcja?

— O, tak. Adaptacji powieści na użytek sceny podjął się reżyser przedstawienia Mikołaj Grabowski z żoną Iwoną Bielską. Z zamysłu jego, z wizji teatralnej jestem

nie zapytać o źródła tego poznania.

— Pierwsze źródło to pobyt na emigracji. Tam, na uchodźstwie, dominuje „rentgenowskie spojrzenie”. Drugie moje źródło to doświadczenia wojenne. Podczas okupacji, w celi więziennej, też ocenia się ludzi w „godzinie X”: jak on się zachowa w godzinie próby — czy ukradnie mi porcję chleba spod poduszki? Ludzie na przyty to ludzie w bieli-

TADEUSZ NOWAKOWSKI — jeden z najznakomitszych pisarzy emigracyjnych — urodził się w 1917 roku w Olsztynie, ale dzieciństwo spędził w Bydgoszczy. Studiował polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim. W latach 1940—1945 — więzień obozów hitlerowskich. Po wojnie pozostał na emigracji — do 1953 roku mieszkał w Wielkiej Brytanii, później kilka lat spędził w Stanach Zjednoczonych, by potem na stałe osiedlić w Monachium, gdzie stale współpracował z ROZGŁOSNIĄ RADIA WOLNA EUROPA.

Debiutował w 1947 roku opowiadaniem „Szopa na jaśminach”, w 1957 roku ukazała się JEGO NAJSŁYNIEJSZA POWIEŚĆ „OBOZ WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH”. Później wydał m. in. „Byłe do wiosny” (75), „Wizja do Hrubieszowa” (79), „Aleja Dobrych Znajomych” (68). Innym nurtem jego działalności literackiej są RELACJE Z PODROŻY PAPIEŻA JANA PAWŁA II, któremu towarzyszył w 30 wyprawach: „Reporter Papieża”, „W bagażniku Jego Świątobliwości”, „Volo Papale”, „Na skrzydłach nadziei”, „Boeing św. Piotra”, „Kwiaty dla pielgrzyma”. Spektakl teatralny „Obóz Wszystkich Świętych” (Teatr im. Słowackiego) to pierwsza realizacja sceniczna powieści T. Nowakowskiego.

zadowolony, ale na próbie generalnej pomyślałem... że czas wydrążyć problematykę „Obozu” — dla nowych pokoleń Polaków to już historia. Ponadto, ludzie intelektu, pisarze, wziąć muszą na siebie odium ewentualnej mylnej interpretacji czasu, w którym żyją i który opisują.

◆ Ale Pan, stawiając pewne diagnozy nam, Polakom... nie mylił się — „Obóz Wszystkich Świętych” to rzecz o narodowych Polaków wadach: o polskiej małości, głupocie, o naszej mentalności. Trudno więc

źnie, bez orderów i gwiazdek, bez zaszczytów. Ludzie „nady” mają czasem inną twarz.

◆ Emigracji pisarza nadaje Pan szczególne znaczenie.

— Człowiek na emigracji najchętniej kreuje się na Odyssa, który nieustannie żegluję, zawsze pod pełnymi żaglami i wciąż prześladowa go myśl: wrócić do swej Itaki. To nasza, emigrantów, prywatna mitologia. Emigracja stwarza dystans. Skale porównawczą. Inną optykę. Ale proszę mnie iść nie rozumieć — nie chodzi tu o cierpienie, które ma

wzbogacać człowieka. Nie wierzę Borowskiemu — on twierdził, że ciężkie przeżycia zmieniają człowieka. Poprzez cierpienia człowiek nie staje się ani lepszy, ani mądrzejszy.

◆ Ale wielkie cierpienie jest podobno matką wielkiej literatury.

— Tak utrzymywał Dostojewski. Pisze się — twierdził — przy pomocy atramentu i sumienia, cierpienia i wrażliwości. Książki Marka Twaina i Musila dowodzą, że nie zawsze tak jest.

◆ Ale zgodzi się Pan, że pisarz musi mieć to „trzęcie oko”, którym patrzy na własny kraj, na świat, na siebie...

— Proszę pani, wśród moich niemieckich przyjaciół pisarzy, takich jak Günter Grass czy — do niedawna — Heinrich Böll, dobrego Niemca poznaje się po tym, że źle się czuje w swej niemieckiej skórze. Nie inaczej wśród pisarzy amerykańskich — ileż w tamtej literaturze antyamerykanizmu! Cóż, ten kto w swym społeczeństwie wykrzykuje „non possumus!” rzykuje najwięcej, bo może się znaleźć bez posady, na bruku. Ten kto jest „za”, ma zwykle pieniądze i swobodny dostęp do mass mediów.

...W Polsce walczy się jeszcze z rozmaitymi przyzwyczajeniami. Zarzucono mi więc, że w „Obozie” atakuje Kościół i wojsko. To nieprawda. Poza tym, instytucje te nie rowiny nadal znajdować się — jak pomniki — pod ochroną. We Francji, Włoszech, Hiszpanii czy Holandii krytyka przerosła klerikalizmu nie budzi już żadnych emocji. Inaczej u nas. Ale pora, by i to się zmieniło. Co do wojska... Nasza historia stoi pod znakiem walk o przetrwanie, stąd wojsko to wciąż temat drażliwy.

◆ Co Polaków wyróżnia — Pańskim zdaniem — spośród innych nacji świata? Jakże są nasze odrębne cechy, łączące się z psychologią narodu?

— Polacy są niewątpliwie inni. To, co uważamy, za swoje wady, na ogół okazuje się a la long zaletami i odwrotnie. Każde pokolenie powinno się pokusić o próbę własnego spojrzenia na swój naród. Powiem pani, że doświadczenie „Solidarności” w pewien sposób wzbogaciło to, co nazywa się *substantia Polonia*.

Cóż składa się na — jak mówią Niemcy — „das ewig Polnische Phänomen”? Swoista czupurność, anarchia,

mitomanie zbiorowe, domieszoteria — wiecznym rycerzem z La Manchy jest właśnie Polak. Za to wszystko Zachód nas po cichu podziwia.

◆ Ale nie brak nam wad, które świat półgłosem coraz częściej połępia.

— Polacy nie powinni nieustannie podkreślać swojej „obecności w Europie”. Proszę pani, żaden Luksemburczyk nie będzie swego rodaka zapewniał w prasie, radiu i telewizji „ty jesteś Europejczykiem”. Cóż to za niemądre powiedzenie, że Polska musi powrócić do Europy! My tę Europę współtworzymy od niepamiętnych lat.

◆ Ale w ramach wybijania się na całkowitą niepodległość dorobiliśmy się „kompleksu Europy”.

— „na dnie którego tkwi może cicha, legitymistyczna, całkiem ludzka tęsknota do Europy w znaczeniu rychłego uporania się Polski z problemami gospodarczymi, z podniesieniem stopy życiowej każdego Polaka i z odnalezieniem własnego miejsca w świecie.

◆ I gdzieś tu znowu dokykamy problematyki „Obozu Wszystkich Świętych”, wszak Mikołaj Grabowski na użytek sceny przyjął założenie, że dla Polaków II wojna skończyła się dopiero 4 czerwca 1989 roku. Jesteśmy więc teraz — jak jańczy z Pana „Obozu” — w sytuacji „ludzi bez miejsca”...

— Grabowski chyba nie pomylił się.

◆ Nie tylko Mikołaj Grabowski stawia „Obóz Wszystkich Świętych” obok „Trans-Atlantyku” Gombrowicza. Zyczą więc Panu — i nam, czytelnikom — kolejnych wznowień Pańskiej książki.

— A ja chciałbym jeszcze dodać, że premiera „Obozu” w krakowskim Teatrze im. Słowackiego ma dla mnie znaczenie szczególne. Przed wojną moim korepetytorem wiedz o Krakowie był Zygmunt Nowakowski — dyrektor Teatru im. Słowackiego po odejściu Trzcńskiego. (Nowakowski nazywał się de facto Tempka, ale pańskie nazwisko matki przyjął jako pseudonim teatralny.) On mnie wtajemniczył w rozmaite krakowskie arkańskie i choć nie widziałem Krakowa 51 lat, to miasto zawsze było mi bliskie...

Rozmawiała:

Izabella Bodnar

ROZMOWA — ZA ZGODĄ AUTORA — NIE AUTORYZOWANA.

Lato w C.

(C.D. ZE STR. 1)

„We wrześniu 39 byłem z matką w Francji”, wspominała kiedyś profesor Maria D., „na wieść o wybuchu wojny pędziliśmy przez wszystkie granice by wrócić do kraju w niebezpieczeństwie. Taka polska choroba...”

Pamiętnikarz (W. Pol) zapisał, że w Dreźnie Klaudia Potocka uczy emigrantów, że mają pielgrzymować do wolnej ojczyzny, której nie doczekają ani oni, ani ich dzieci, może dopiero dzieci ich dzieci.

✱

MOJE WSPOMNIENIA WOLNEJ POLSKI OBEJMUJĄ WIZYTY W BEL-

WEDERZE OTWARTYM PO ŚMIERCI MARSZAŁKA DLA PUBLICZNOŚCI. Nocnik Marszałka pod łóżkiem i policjant na białym koniu. Potem okupacja i komunizm na pół wieku. Cóż za kaprys: po Bierucie i Zawadzkiem, Jabłońskim i Jaruzelskim — chcieć dożyć wreszcie głowy państwa, którą dąłoby się szanować... P. mówi, że mało go obchodzi, kto rządzi, rząd i tak jest lajdacki, każdy rząd zawsze taki był. P. urodził się w niewoli, okuto go w powiciu, jego rówieśnicy również nie wierzą, że można mieć normalny wolny sejm, rząd, normalnego prezydenta, zawsze będzie jakieś szachrajstwo, c'est la vie.

✱

Wincetyna Stopkowa

W Krakowie zmarła WINCENTYNA STOPKOWA, córka malarza Wincentego Wodzinowskiego, żona ANDRZEJA STOPKI, scenografa i karykaturzysty, autora sztuk teatralnych i książek, ostatnia nosiła tytuł „Portret artysty z żoną w tle”.

I tylko tyle informacji o Wiculi? Jakże to niesprawiedliwe, że kurczymy się do porządkujących faktów, wyzujących z życia, pozbawionych o-

sobowości. Kiedy przeczytałam w gazecie tę wiadomość, w mojej pamięci uruchomił się szereg obrazów, mały film o Wiculi.

Widzę ich we wczesnych latach sześćdziesiątych w domu moich Rodziców: mały, pękaty Duszek z chlebaczkiem na ramieniu i Wicula mówiąca wytwornym głosem „Duszeku, przestań kłąć...” I mój kuzyn, który im się przygląda i zauważa: ależ to taki

sprasowany wujek (wujek, czyli mój ojciec).

Wicula w pięknej, zielonej aksamitnej sukni z różą, prosto z Wiednia. Dobre lata, Duszek robi wtedy scenografię do wiedeńskiej premiery „Historii o chwalebny martwychwstaniu”. Wicula na jakichś imieninach ojca tańczyła tango z Jurkiem Bandurą — pod melodię Bolera Ravela. Taniec kończy się równie szalonym upadkiem i chyba złamaniem ręki.

Głos miała Wicula bardzo szczególny — jakby lekkie zaciąganie, niskie rejestry, z takim utajonym śmiechem sposób mówienia.

ZNOWU K. i JEGO DAMASZEK. PRZEBACZAM, NA PEWNO PRZEBACZAM. 1945 rok, jedziemy z klasą i panem od polskiego unrowską ciężarówką. Zielona Góra, Szczecin, Kołobrzeg, nasze odzyskane, piastowskie, prapolskie ziemie, swoje oglądamy, szwabę raus. Biskupi, pisarze, uczeni w ruinach grzebią, bolków świadniczek, legnickich, opolskich na gwałt szukają. Ale tutaj ziemia i drzewa, i domy, i ulice Niemcem cuchną, co było piastowskie dawno deszcze zmyły. W Kołobrzegu na placu śpiewamy Rotę, za płotem żołnierze sowieccy patrzą, chichoczą, jakieś pancerny fausty, niewypały pod murem leżą. Niemiaszki chyłkiem przebiegają, damy im bobu!

✱

POBYT W C. TRWA ZBYT KRÓTKO, KTÓŻ BY NIE POJECHAŁ DO PENSJONATU DLA MILIONERÓW, BY ZBAWIĆ JAKIS OKRUCH TEGO

SWIATA? Dając zresztą szansę bogaczom, aby uspokoił sumienia przeznaczony zbywające dolary na zafundowanie wschodnioeuropejskim głodomorom pobytu w alpejskim kurorcie. Jest nas tam wschodnioeuropejczyków kilkoro, zasłużony Polityk z żoną, młody lecz zgorzkniały Działacz, Kapitalista przybyły mercedesem, Intelektualista przybyły małym fiatem, wreszcie nieustraszonego Świadek tego wszystkiego.

✱

PIOTR IDĄCY PO FALACH JEZIORA, wąpiący i natychmiast tonący. Nad wodą wielką i czystą — aniołowie? — startują na lotniach ze zboża wysoko nad nami, krążą leniwie jak wielkie ptaki. Obrócić się Oblicze swoje ożywi cię?

Jan Prokop

ludowe łóżko, bardzo krótkie, jak dla dziecka. Chyba dalej stoi w tym muzeum. panie stamtąd traktowały je z szacunkiem.

Inni będą pewnie ten mój film dalej uzupełniać. Ja myślę, że w naszych podobno ciekawych czasach nie ma już takich wyjątkowych osób. Trzeba je opisać.

Marta Wyka

Dotknięcie świata

Jerzy Jarzębski

Zawsze lubiłem to zakończenie *Pieśni*, zakończenie, które umknęło zupełnie analizie wiersza dokonywanej niedawno przez Krzysztofa Dybciaka¹. Ale cóż by miał znaczyć ten spokojny, sielankowy obraz wieńczący dramatyczny dialog Chóru, przez który mówi Natura, Gatunek, Zbiorowość — oraz Anny, wypowiadającej zagubienie i lęk jednostki, samotnej w obliczu świata, tajemnicy własnej egzystencji i śmierci? Ten spór, konflikt głosów i racji, tak dla poezji Miłosza typowy, opisywany był przez większość egzegetów poety, najpełniej chyba przez Aleksandra Fiutę², niczego więc do tej sprawy nie spodziewam się dodać. Tym bardziej intryguje mnie jednak owe dziewięć wiersów, w których dramatyzm opada, a górę bierze spokojny opis. Więc — dlaczego? A może też: za jaką cenę?

Ostatnie głosy

W kuźni nad wodą młotek uderza,
schylony człowiek naprawia kosę
i świeci głowa w płomieniu ogniska.

Pierwsze łuczyczo zapala się w izbie,
na stół głowę kładą parobcy zmęczeni.
Już misa dymi, a świerszcze śpiewają.

Wyspy są zwierzętami śpiącymi,
w gnieździe jeziora układają się mrucząc,
a nad nimi obłok wążutki.

Czesław Miłosz

Zakończenie *Pieśni* może najlepiej odpowiada temu ideałowi poezji, który streszcza Miłosz w Mickiewiczowskiej formule: „widzę i opisuję”. Przecież jednak u Miłosza daje się słyszeć raczej: „ja widzę i ja opisuję”; aspekt podmiotowy wizji stale się ujawnia, pokonując neutralność ujrzanego świata. Samo „ja” z kolei rozszepia się na skłócone, dialogujące „persony”³, mówi różnymi językami, znajduje w sobie oparcie dla sprzecznych światopoglądów. Wraz z nim i rzeczywistość ujrzana rozpada się łatwo na przeszłe, teraźniejsze i przyszłe, na ogólne i szczegółowe, ponadczasowe i momentalne, przychylnie i wrogie, boskie i diabelskie, fizyczne i duchowe. Często cytowany fragment z *Nie więcej*, w którym poeta próbuje w swojej wizji ogarnąć weneckie kurtyzany żywe „Tak przynajmniej jak widział szpeler galeonów”, a zaraz potem ich „biedne kości / Na cmentarzu, gdzie bramę lize tłuste morze”, to tylko jeden z wielu przykładów tego nieomal programowego rozmożenia perspektywy.

Wygląda na to, iż każde u Miłosza

zdotknięcie „ja” ze światem

zaprasza do obustronnego rozszepiania i trudno wyrokować, której ze stykających się stron przypisać w tym procesie rolę decydującą. Odbijają się bowiem w sobie dwie wielości i dwa trwania w czasie: skomplikowana, pełna wewnętrznych sprzeczności, zmieniająca się osobowość ludzka — i podobnie złożony, niejednorodny, powstający wciąż na nowo i poddawany zniszczeniu świat. Stojąc naprzeciw sobie, „ja” i rzeczywistość służą sobie wzajem zwierciadlanym reflektorem: różne głosy, które toczą spór w poecie, zyskują w świecie oparcie, wcielając się w rozmaite — prawdziwe bądź fikcyjne — postaci. W tym sensie jest on i Anna, i Chórem w *Pieśni*, obydwojma partnerami *Rozmowy płochy* czy *Rozmowy na Wielkanoc 1620 roku*, wszystkimi, których wprost cytuję — jak w

Zapisanym wczesnym rankiem czy Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada — bo: „Com nasz jest otwarty, we drzwiach nie ma klucza / a niewidzialni goście wchodzą i wychodzą” (*Ars poetica?*). Każda z tych postaci wnosi do wiersza swój styl i fragment świata w sobie odbity.

Ale jest też odwrotnie: poetyckie „ja”, z jego pamięcią przeszłości, odbija szereg stanów rzeczy, momentów minionych, sprzecznych prawd współistniejących w przestrzeni i czasie, choć niemożliwych do ujęcia w jednym akcie percepcji. A zatem to, co w świecie rozdzielone, scala świadomość twórcy, gdy jednocześnie jego wewnętrzne rozdarcie i niejednoznaczność na inny sposób jednoczy rzeczywistość, w której sprzeczności obiektywizują się, przyjmując jakiś fizyczny, materialny kształt.

Cała ta

maszyna pomnażania i scalania

rozdarć i zjednoczeń zdaje się być głównym motorem napędowym poezji Miłosza; to ona nadaje jej ruch, zmienność, odbiera jednoznaczny i ostateczny charakter kolejnym formułom, w których poeta próbuje wyrazić siebie i opisać świat. Ale ruch ten ku czemu zmierza? Znajduję u Miłosza dwa takie, niejednakowe, punkty dojścia, które wyznaczają dwie wersje idealne spotkania poetyckiego „ja” ze światem. Pierwsza jest paradoksalna, bo zakłada uchwycenie świata na raz z wielu różnych punktów widzenia i w przebiegu czasu. Jest to w gruncie rzeczy proces nieskończony; bo nieskończony jest ruch przemian rzeczywistości i odpowiadająca mu złożoność *ego*. Jeśli widać w nim kres, to jest nim śmierć poety, a po drugiej stronie — kres ruchu, gdy świat staje w „wypełnieniu tunie”. Obydwie te eschatologiczne perspektywy pojawiają się już we wczesnych wierszach Miłosza, najwyraźniej może w *Powolnej rzecze*.

Ale w wizji tego pierwszego typu tyleż heroicznego poczucia mocy, co cierpienia: rzeczywistość w ruchu i *ego* zanurzone w czasie podlegają nieustannie procesom niszczenia i nie przypadkiem śmierć grasuje w tak skonstruowanym poetyckim świecie. Więc jest też u Miłosza drugi punkt dojścia: zetknięcie „ja” i krajobrazu otaczających go rzeczy sprowadzone do jednego momentu ośnienia, zachwyty nad urodą chwili. Zachwyt ten — aby go nie zburzyła zaraz świadomość przemijania — musi być jednak opłacony zatrąta *ego*, wchłonięciem go przez obraz, zredukowaniem do „czystej percepcji”. Czy to możliwe? Na pewno w tęsknocie, we wspomnieniu — tak jak w wierszu *Dar*, a najwyraźniej może w marzeniu wędrowca z *To jedno*:

Chcę jednej tylko, drogocennej rzeczy:

Być samym czystym patrzaniem bez nazwy,

Bez oczekiwań, lęków i nadziei,

Na granicy gdzie kończy się ja i nie-ja.

Dziwne to, choć pewnie logiczne: tam, gdzie „ja” pojawia się w całej swej różnorodności i dynamice, doprowadza łatwo do destrukcji rzeczywistości istniejącej tu i teraz. Tak jest w *Bonie nad Lemanem*, gdzie pod ciśnieniem pamięci i dążenia „pada w popiół to, co jest”. Jednocześnie poetyckie „ja”, które władne jest wskrzesić w sobie ośnienia dzieciństwa, płaci za to świadomością nadchodzącej śmierci i nietrwałości każdej rzeczy. Aby więc móc cieszyć oko urodą przedmiotu, chwili, trzeba wyciszyć „ja”, wtopić się w świat, stać się nim, zatrzymując zarazem ruch materii, pokonując na moment jej zniszczalność.

Jak więc rozumiem zakończenie *Pieśni*? Pozornie jest ono całe po stronie afirmacji życia, jego prostej, materialnej treści. Przecież jednak daleko mu do patetycznych heksametrów Chóru, sławiących wieczny obrót koła narodzin i śmierci. W Ostatnich głosach życie jawi się w przekroju chwili, w określonej, jednostkowej perspektywie, choć samo „ja” znikło, wsiąkło w obraz. Dlatego możliwe jest tam spokojne ułożenie się do snu, którego lękała się samotna w obliczu świata Anna.

Byłoby to rozwiązanie dylematu? Nie, bo od dramatu *ego* i rzeczywistości u Miłosza uciec nie można i nie należy. Ale, by dotknąć świata i cieszyć się nim choć przez chwilę, trzeba zapomnieć o sobie, pozwolić, by rzecz sama odsłoniła swą twarz.

¹ K. DYBZIAK, *Pieśń* (w tomie zbiorowym): CZESŁAW MIŁOSZ, *Trzy zimy & Głosy o wierszach*, pod red. R. GORCZYŃSKIEJ I P. KŁOCZOWSKIEGO, Londyn 1987, „Aneks”, s. 65—70.

² Por. A. FIUTA, *Moment wieczny. Poezja Czesława Miłosza*, Paryż 1987, Libella; głównie cz. VI: *Gra o tożsamość* i cz. VII: *Palimpsest*.

³ Termin używany przez Fiutę, por. tamże, s. 203.

Nowości wydawnicze

AISIN-GIORO PU I — Obywatel cesarz; W-wa: Iskry, 1990.

BELLOW SAUL — Przypadki Augie'ego Marcha; W-wa: PIW, 1990 (Współczesna Proza Światowa).

BIELECKI JERZY — Kto ratuje jedno życie...: pamiętnik z Oświęcimia; W-wa: LSW, 1990.

BRANACH ZBIGNIEW — Grudniowe wdowy czekają; Londyn (etc): Europa, 1990.

BRANICKA-WOLSKA ANNA — Listy nie wysłane; W-wa: Iskry, 1990.

BUDREWICZ OLGIERD — Sagi warszawskie t. I/III; W-wa: Czytelnik, 1990.

BYKÓW WASIL — Zły znak; W-wa: PIW, 1991; (Współczesna Proza Światowa).

CELA CAMILO JOSE — Mazurek dla dwóch nieboszczyków; W-wa: PIW, 1990; (Współczesna Proza Światowa).

DAMSZ JERZY — Lwowskie Puchacz: wspomnienia lotnika; Kraków: Znak, 1990.

DICKINSON EMILY — 100 wierszy (wybór, przekł. i wstęp St. Barańczak); t. 1 Kraków: Arka, 1990 (Biblioteczka Poetów Języka Angielskiego).

DREWNOWSKI TADEUSZ — Walka o oddech: o pisarstwie Tadeusza Różewicza;

W-wa: Wyd. Artystyczne i Filmowe, 1990.

DYBZIAK KRZYSZTOF — Panorama literatury na obczyźnie: opracowanie przeznaczone dla uczniów szkół średnich; Kraków: Oficyna Literacka, 1990.

FORSTNER DOROTHEA — Świat symboliki chrześcijańskiej; W-wa: Pax, 1990.

FRAUWALLN ERICH — Historia filozofii indyjskiej; T. 1—2; W-wa: PWN, 1990.

GŁOWIŃSKI MICHAŁ — Mity przebrane: Dionizos, Narcyz, Prometeusz, Marcholt, Labirynt; Kraków: Wyd. Literackie, 1990.

GOETEL FERDYNAND — Czasy wojny; Gdańsk: Graf, 1990.

HERLING-GRUDZIŃSKI GUSTAW — Godzina cieni; eseje; Kraków: Znak, 1991.

HERLING-GRUDZIŃSKI GUSTAW — Opowiadania zebrane; Poznań: W drodze, 1990.

HRABAL BOHUMIL — Lekcje tańca dla starszych i zaawansowanych; W-wa: PIW, 1990 (Współczesna Proza Światowa).

JANION MARIA — Życie pośmiertne Konrada Wallenroda; W-wa: PIW, 1990.

JELCYN BORIS — Wyznania; W-wa: Polprodukt, 1990.

JELEŃSKI KONSTANTY A. — Szkice (wybór Wojciech Karpiński); Kraków: Znak, 1990.

KISIELEWSKI STEFAN — Pałę Zachód; Kościan: Stary, 1990.

KONWICKI TADEUSZ — Wschody i zachody księżyca; Wyd. 3. zm.; W-wa: Oficyna Wydawnicza, 1990.

KUNDERA MILAN — Żart; W-wa: PIW, 1991.

BOJARSKA ANNA — Pięć śmierci; W-wa: Krag, 1990.

ELZENBERG HENRYK — Z filozofii kultury (wybór i oprac. M. Woroniecki), T. 1; Kraków: Znak, 1991.

HAUZIŃSKI JERZY — Kraje i kultury śródziemnomorskie T. 1; Poznań: Wyd. Naukowe Uniwersytetu im. A. Mickiewicza, 1990.

HEMINGWAY ERNEST — Świętło życia i inne opowiadania; Rzeszów: KAW, 1991.

HERTZ ALEKSANDER — Wyznania starego człowieka; W-wa: PIW, 1991.

KŁOCZOWSKI JAN ANDRZEJ — A myśmy się spodziewali; Poznań: W drodze, 1990.

KOLB ANNETTE — Mo-zart; W-wa: PIW, 1990.

KOPCZYŃSKI KRZYSZTOF — Przed przystankiem Niepodległość: paryska „Kultura” i kraj w latach 1980—1989; W-wa: Biblioteka „Więzi”, 1990.

LITERATURA WSPÓŁCZESNA: konteksty interpretacyjne (wybór i oprac. Andrzej Z. Makowiecki); W-wa: Wyd. Szkolne i Pedagogiczne, 1990.

MIEDWIEDIEW ROJ — Geniza i następstwa stalinizmu; (Pod Osąd Historii 2); W-wa: Bellona, 1990.

NEY-KRWOWICZ MAREK — Komenda Główna Armii Krajowej 1939—1945; W-wa: Pax, 1990.

NICIEJA STANISŁAW S. — Cmentarz obrońców Lwowa; Wrocław (etc) Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1990.

OATES STEPHEN B. — Lincoln; W-wa: PIW, 1991. (Biografie Sławnych Ludzi).

ODOJEWSKI WŁODZIMIERZ — Zasypie wszystko, zawieje...; W-wa: Czytelnik, 1990.

PRONOBIS WITOLD — Polska i świat w XX wieku; W-wa: Editions Spotkania, 1990.

PRUSZYŃSKI KSAWERY — Niezadowoleni i entuzjaści: Publicystyka 1931—1939. Powrót do Sopotu; Publicystyka 1940—1948; W-wa: PIW, 1990.

RUSINOWA IZABELLA — Aleksander Hamilton; Wrocław (etc) Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1990.

SOLZENICYN ALEKSANDER — Lenin w Zurychu; W-wa: Editions Spotkania, 1990.

SUCHOROWSKA DANUTA — Wielka edukacja: wspomnienia więźniów politycznych PRL (1945—1956); W-wa: Omnipress, 1990.

TUWIM JULIAN — Juwenilia T. 1—2 (oprac. Tadeusz Januszewski i Alicja Bałakier); W-wa: Czytelnik, 1990.

WANKOWICZ MELCHIOR — Wrzesień żagwiący; W-wa: Wyd. Polonia, 1990.

WIERZYŃSKI KAZIMIERZ — Szkice i portrety literackie; W-wa: Biblioteka „Więzi”, 1990.

ZWOLIŃSKI ANDRZEJ — Ks. Stefan Wyszyński wobec kryzysu społeczno-gospodarczego Polski lat trzydziestych XX wieku; Lublin: KUL, 1990.

KUNDERA MILAN — Śmieszne miłości; W-wa: Alfa, 1990.

LITERATURA współczesna „że” obecna w szkole: antologia tekstów literackich i pomocniczych dla klas maturalnych (oprac. Bożena Chrzastowska); Wrocław (etc) Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1990.

NOWICKI STEFAN — Pół wieku czyszcza: rozmowy z Tadeuszem Konwickim; W-wa: Oficyna Wydawnicza, 1990.

ROMANOWSKI ANDRZEJ — Przed złotym czasem: szkice o poezji i pieśni patriotycznej wojennej lat 1903—1918; Kraków: Znak, 1990.

SFORIM MENDELE MOJCHER — Podróże Beniamina Trzeciego; Wrocław: Wyd. Dolnośląskie, 1990. (Biblioteka Pisarzy Żydowskich).

SIDICHMIENOW WASILIJ — Ostatni cesarz Chin; Katowice: Śląsk, 1990.

REINFUSS ROMAN — Śladami Łemków; W-wa PTTK „Kraj”, 1990.

SINGER ISAAC BASHEVIS — Śmierć Matuzalema i inne opowiadania; W-wa: BIS, 1990.

SOLZENICYN ALEKSANDER — Zagroda Matryony i inne opowiadania; W-wa: PIW, 1990.

STAWIŃSKI JERZY STEFAN — Młodego warszawianka zapiski z urodzin; W-wa: Przedświt, 1990.

WERNICHOWSKA BOGNA — Historie z obrączką czyli pamiętne śluby; W-wa: PTTK „Kraj”, 1990.

ZAGÓRSKI WACŁAW — Wicher wolności: dziennik powstania (Lech Grzybowski); W-wa: Czytelnik, 1990.

ZIELIŃSKI JAN — Leksykon polskiej literatury emigracyjnej (Jan Kowalski); Lublin: FIS; UNIPRESS, 1990.

Milczące sejfy Szwajcarii (IV)

Jean Ziegler

Oto kolejny odcinek głośnej na Zachodzie książki J. Zieglera pt. „Narkodolary”. Autor analizuje sposób, w jaki zdobyte z handlu narkotykami pieniądze „prane są” w szwajcarskich bankach. Całość tłumaczył Stanisław Mędak.

Nazwa spółki Shakarchi Trading SA była już wymieniona przy okazji innej afery międzynarodowej, dotyczącej nielegalnego handlu narkotykami a określonej mianem „Pizza Connection”. W listopadzie 1989 roku sejmowa Komisja Dochodzeniowa ujawnia fakt, że we wrześniu 1972 roku ojciec Mohammeda, Mahmoud Shakarchi, złożył w Societe de Banque Suisse pieniądze, które pochodziły z okupu zapłaconego jednej z grup terrorystycznych Bliskiego Wschodu w wyniku porwania samolotu. W sierpniu 1979 roku władze dowiadują się, że Mohammed Shakarchi składa znaczną kwotę w gotówce w jednym z banków zagranicznych — okup za porwanie samolotu. Ustalono, że Shakarchi-syn znał dane personalne osób, które przekazały mu pieniądze.

Nietykalna spółka

Parlamentarna Komisja Dochodzeniowa poświęca spółce Shakarchi dziesięć stron raportu. Spółka pozostaje wciąż wielkim potentatem finansowym. Zdarza się, że w ciągu jednego dnia przychody tej spółki wahają się w granicach od 25 do 100 milionów dolarów.

Spółka Shakarchi Trading SA cieszy się od lat zadziwiającymi względami. Ta sama komisja wskazuje, że kurierzy spółki posiadają specjalne prawa, zezwalające im na swobodne poruszanie się w strefie tranzytowej i częściowo w strefie zarezerwowanej tylko dla personelu na międzynarodowym lotnisku Kloten w Zurychu. Dzięki niezwyklej wyrozumiałości policji lotniska nie narażają się na utrudnienia ze strony celników czy kontrolujących paszporty. Kolejny zaskakujący fakt. We wrześniu 1988 roku sędzia śledczy Biura Prokuratora Konfederacji Szwajcarskiej do Walki z Handlem Narkotykami, Jacques-Andre Kaeslin, zwraca się z prośbą do swego przełożonego Adriana Bieriego, syna Waltera Bieriego, o zezwolenie na rozpoczęcie śledztwa przeciwko spółce Shakarchi. Prośba zostaje odrzucona. Dysponując wystarczającą liczbą poszlak, dokumentów i dowodów, Kaeslin ponawia prośbę. Tym razem odmowna odpowiedź zostaje przekazana przez Rudolfa Wysa, przełożonego Bieriego. W końcu Kaeslin składa swą prośbę bezpośrednio na rece prokuratora generalnego Gerbera. Gerber nie zadawała się je-

dynie odmową na rozpoczęcie śledztwa; upartemu policjantowi udzielił nagany, która położyła kres jego karierze w administracji.

Bracia Magharian i sąd

Sprawa braci Magharian przedstawia się nieco inaczej. Jeśli nawet do 1990 roku „wybielanie” pieniędzy pochodzących z nielegalnego handlu narkotykami, dokonywane umyślnie, nie podpadało pod kodeks karny, to jednak finansisci, którzy wprowadzają do obiegu przemytniczego „wyprany” brudny szmal, po to, by kupować, przemycić, rafinować i handlować narkotykami, podpadają pod literę prawa z tytułu nielegalnego handlu narkotykami. To właśnie przypadek braci Magharian, którzy świadomie dokonywali procesu „prania” brudnego szmalu w Credit Suisse i przekazywali „wyprane” sumy na swe konta znajdujące się w bankach Panamy. Bracia Magharian są więc również uważani za oszustów. Ani Barkev, ani Jean Magharian wciąż nie są skazani. Uwzięci, oczekują na proces, który w zasadzie powinien odbyć się w pierwszym półroczu 1990 roku.

W rzeczywistości sytuacja prawna braci Magharian jest niezwykle skomplikowana. Aresztowani 7 lipca 1988 roku w jednym z hoteli Zurychu z polecenia prokuratora Sopraceneri, zostali przewiezieni do kantonu Tessin i zatrzymani w jednym z lokalnych zakładów karnych. Ich areszt przedłużony był już dwa razy. 27 października 1989 roku Sąd Kasacyjny Trybunału Federalnego rozpatruje odwołanie oskarżonych, którzy twierdzą, że zarzucane im operacje finansowe nie podpadają pod szwajcarski kodeks karny. Sąd Najwyższy odrzuca odwołanie.

W Stanach Zjednoczonych bracia Magharian są ścigani w związku z przemytem kokainy (10 marca 1989 roku sędzia nowojorski wydał nakaz aresztowania braci Magharian). Tak więc nawet gdyby prokuratorowi Sopraceneri nie udało się skazać braci Magharian, i tak nie zostaliby oni uwolnieni, jako że Biuro Federalne Policji (szwajcarskiej) uznało prawomocność wyroku, który zapadł w procesie nowojorskim. W związku z powyższym, w oczekiwaniu na amerykański wniosek o ekstradycję, osadzono braci Magharian w areszcie tymczasowym.

Zbrodnia zorganizowana

Dick Marty podał się do dymisji i opuścił prokuraturę będąc przekonany, że przeciął jedynie kilka nici w siatce turecko-libańskiej. I mimo jego wspaniałych poczynań (jak również wkładu pracy jego bliskich i odważnych współpracowników) ważne osobistości wmieszane w aferę pozostają w cieniu sprawy. Rozczarowany, konstatuje: „W Szwajcarii im większym jest się gangsterem, tym ma się więcej szans, aby wieść spokojny żywot. Nie jesteśmy przygotowani do walki ze zbrodnią zorganizowaną. Ani pod względem psychicznym, ani pod względem technicznym”.

Pałac Federalny, 27 października o godzinie ósmej rano: rzuciwszy okiem na notatkę przekazaną przez współpracownicę, Elisabeth Kopp, kochającą żona i jednocześnie wytrawny prawnik, błędnie. Natychmiast podnosi słuchawkę telefonu i dzwoni do swojego męża Hansa W. Koppa, adwokata urzędującego w Zurychu na Kurhausstrasse 28.

Mąż pani minister jest znanym adwokatem d'affaires cieszącym się międzynarodowym uznaniem. Aktualnie pełni funkcję wiceprezidenta spółki Shakarchi. Elisabeth radzi mu, aby podał się natychmiast do dymisji. Jeszcze tego samego dnia Hans W. Kopp skorzysta z dobrej rady.

Hans W. Kopp jest osobą wyjątkową. Poznałem go jeszcze podczas wspólnych studiów uniwersyteckich na wydziale prawa. Od dawna fascynował mnie ten mężczyzna, w którym jest jakaś nieczysta siła. Do działania pobudzały go zawsze wybiegające poza przeciętność pasje. Zdecydowane i kompleksowe. Dzisiaj zbliża się już do pięćdziesiątki. Jest wysoki, dobrze zbudowany, o zaawansowanej sylwetce, pełen werwy. Chwilami spod jego ciężkich powiek wydostaje się spojrzenie sępa. Na co dzień jednak Hans Kopp może urzec swoim uśmiechem. Posiada prawdziwą siłę uwodzieńską. Czy może być ujmującym mężczyzną? Być może chwilami, a zwłaszcza wtedy, kiedy popuści wodze swej wyjątkowej inteligencji. Jego żona, która razem z nami studiowała na uniwersytecie, jest zupełnym przeciwieństwem. Drobną, delikatną, bezustannie panującą nad swą twarzą. Hans jest jak czynny wulkan, Elisabeth jest zimna jak syberyjska noc.

Kariera Koppa

Droga życiowa tego bezwzględnie człowieka jest nietuzinkowa. Kopp wywodzi się ze średniej burżuazji lucerneńskiej. Wyjątkowo zdolny student, w dodatku ambitny i pracowity, szybko staje się znanym i wziętym adwokatem d'affaires w Zurychu. Ma brata, który aktualnie jest dyrektorem generalnym banku Credit Suisse. Wzboğaci się w zaskakującym tempie dzięki swej wyjątkowej inteligencji, dzięki pracowitości i umiłowaniu ryzyka. Kocha władzę. Pułkownik w sztabie generalnym armii. W latach 1980–1988 dowodzi sekcją działań psychologicznych. Urodzony prowokator, nie obawia się zmanifestować swej amoralności w pruderyjnym Zurychu. W świecie emirów i hipokrytów, którzy chroliwie dbają o to, co powiedzą inni,

którzy ukrywają przed światem swe (olbrzymie) fortuny, którzy starzeją się na smutno i przegrywają swoje życie na skutek konformizmu, Kopp czuje się zagubiony. W tym kulturowym świecie obnosi się publicznie ze swymi przekonaniami i nie bawi się w chowanego.

Policjanci, celnicy i agenci północnoamerykańskiej DEA są zmorą tak dla wielkich międzynarodowych banków, jak również dla banków prywatnych, spółek powierniczych, instytucji zarządzających fortunami.

Częstokroć udający turystów, ci zagraniczni funkcjonariusze krążą wokół banków, próbują fotografować klientów, zarówno tych wchodzących, jak i wychodzących. Z tego też powodu świątynie bankowe posiadają w podziemiach olbrzymie garaże. Każdy agent śmierci, należycie zaanonсовany przez zakodowany telegram, jest podejmowany przez zapraszającego prawie zaraz po wyjściu z samolotu. Następnie czarny mercedes z zasłoniętymi oknami przewozi agenta bezpośrednio do podziemi bankowych, skąd bez trudności odtransportowany zostanie na odpowiednie piętro, gdzie znajduje się dyrekcja. Jego trasa powrotna zaplanowana jest według identycznego schematu.

Natomiast w gabinecie adwokata Koppa zainteresowane strony przyjmują się publicznie.

Smakosz, ceniaczy rozkosze życia, uwielbia zarówno obiady, jak i wystawne przyjęcia. W swoim czasie poeta. W latach 1975 i 1976 opublikował dwa zbiorki liryczne zatytułowane *Un homme marche sous la pluie* i *La Creation*. Jak już wspomnieliśmy, Kopp jest wiceprezydentem spółki Shakarchi Trading SA.

Ojciec chrzestny

Gabinet Koppa w sposób jawny broni interesów jednego z handlarzy narkotyków, najbardziej brutalnego i najbardziej operatywnego w całej Europie. Nazwisko ojca chrzestnego brzmi: Yasar Musullulu. Do 1984 roku pełni on funkcję dyrektora spółki Oden Shipping SA, specjalizującej się w pośrednictwie i transporcie morskim. Spółka ta ma swoją siedzibę w Zurychu przy Bahnhofplatz 4. W 1983 roku, dzięki staraniom adwokata Koppa, panu Musullulu przedłuża się zezwolenie na pobyt w Szwajcarii. Fakt ten wskazuje na to, że działania Koppa mają charakter radoszej prowokacji. To, co emirowie bankowi robią codziennie w sposób ukryty, wstydliwie i z zażenowaniem, sęp przeprowadza zupełnie otwarcie. Obludne uśmieški wielkich tego świata w wykonaniu Koppa nabierają hałaśliwych tonów.

W tym nieprzyjaznym purytańskim mieście, w którym króluje kłamstwo, w którym skromność wobec innych jest prawie obowiązkiem — Hans W. Kopp fetuje swój pierwszy milion zarobiony w pocie czoła.

Oddaje pokłon koledze z okresu studiów na wydziale prawa. Przynajmniej on, w przeciwieństwie do całych pokoleń emirów szwajcarskich, zmęczony kamufłowaniem swojego bogactwa, przeżywa wielki dzień chwały, dzień, w którym realizują się sny o potęgę i nieograniczonym bogactwie.

(cdn.)

KTO. CO CZYTA?

JERZY PILCH — prozaik, felietonista, krytyk literacki, redaktor „Tygodnika Powszechnego”:

Oprócz sarmackiego czytania od deski do deski obcowanie z książkami zawiera w sobie rozliczne odmiany i figury. Przeglądanie książek, powroty do ulubionych fragmentów, napoczytnianie lektury, zaznanie kilku przypadkowych stronic gdzieś ze środka, końca; odnalezienie ulubionego zdania (może to być zdanie Malraux: „Flaubert żył ze swoją biblioteką jak Wiktor Hugo z Juliette Drouet”) wreszcie także: muskanie grzbietów, zagładanie pod obwolotę, powracanie do lektury przerwanej dwadzieścia lat temu, wahanie się nad pozycją w księgarni: wziąć ją czy nie wziąć, branie jej, odkładanie na później, poszukiwanie przez pół życia mitycznego tekstu, samo wreszcie posiadanie tomu i zarazem ustawiczne unikanie go — ono także jest formą lektury.

Za każdym, kto ma zwyczaj wieść z książkami życie nie tyle podwójne co wielokrotne, ciągną się konstelacje fragmentów, cytatów, lektur przeciągających się nad miarę, zbyt długo planowanych, koniecznych, zastępczych, zbytecznych, czekających wiecznie i wiecznie czytanych.

Zdając sobie sprawę, iż psychoanalityczny ścieg tego wywodu szyty jest szwską dratwą, pragnę też dodać, iż od czasu do czasu dobrze jest zrobić coś po bożemu, sarmacku, od początku do końca. Przeczytałem właśnie tom opowiadań Singera „Śmierć Matuzalema” oraz powieść Nabokowa „Zaproszenie na egzekucję”. Zwłaszcza z Nabokovem (pisarz ten frapuje mnie coraz bardziej) historia ciekawa i paradoksalna. Bohater książki nazywa się Cyncynat, akcja toczy się w umownej Twierdzy i rzecz w ogóle roj się od, zdawać by się mogło, papierowych wytworów galanterii aluzjno-parabolicznej — a jest to mimo wszystko powieść doskonała.

Józefa Hennełowa („Tygodnik Powszechny” nr 9) z pewną ironią dziwi się, że wydawcy wznowiając literaturę dziecięco-młodzieżową nie sięgnęli jeszcze po „Księżniczkę Czardasza” (a może „Czardaszę” jak pisze). Skąd tu „Księżniczka Czardasza”? To przecież operetka E. Kalmana. Autorce chodziło zapewne o „Księżniczkę Dżawacha” (1903), popularnej u nas rosyjskiej autorki książek dla młodzieży Lidii Czarskiej. Naprawdę nazywała się Czuniłowa, była z zawodu aktorką. Miejsce i data zgonu — osada Czkalowskoje w Kraju Krasnodarskim 1937.

(hm)

W rocznicowej audycji Polskiego Radia (program I), poświęconej „Weselu” (18 marca), ustyszeliśmy bodaj dwa razy z ust Barbary Lasockiej o „ostawionej” premierze tego dramatu. „Ostawiony” to znaczy „mający zią sławę”. A

Camera obscura

przecież nie o to prelegentce chodziło.

(hm)

W tejże audycji Adam Hanuszkiewicz oburzał się, że w czasach stalinowskich „a afiszach figurował tylko „Aleksander Fredro”, a nie „Aleksander hr. Fredro”. Nie ma się co oburzać. Tak było, i na afiszach, i w wydaniach już w okresie międzywojennym. Już zresztą na monografii Ignacego Chrzanowskiego z roku 1917 widnieje tytuł „O komediach Aleksandra Fredry” — bez „hrabięgo”, o którego tak żarliwie upomina się Hanuszkiewicz.

(hm)

Piotr Fast pisze w „Odrze”

(hm)

(nr 1) o pewnym przekładzie z rosyjskiego: „Jak by to nie było napisane po rosyjsku, nie należy raczej mówić po polsku «w oczekiwaniu śniadania...». Zabawna to sytuacja, kiedy poprawiacz w poprawiającym zdaniu sam popełnia błąd językowy, bo oczywiście „jakby to nie było” to rusycyzm i po polsku można napisać tylko „jakkolwiek by to było”.

(hm)

„Dekada Literacka” wciąż jest niestety na bakier z imionami bardzo znanych postaci. W „Przeglądzie prasy” w numerze 13, zmieniono imię nawet prezosa Stowarzyszenia Pisarzy Polskich Braunowi z Andrzeja na: Jerzy.

(hm)

Witold Turdza odkrywa nieznane arcydzieła

POEMAT KRASIŃSKIEGO

W Muzeum Romantyzmu w Opinogórze znajduje się piękny wachlarz, na którym wymalowano ruiny Forum Romanum w Rzymie, na tle zachodzącego słońca. Ofiarował go kiedyś Delfinie Potockiej Zygmunt Krasiński. W trzonku wachlarza — co okazuje się, kiedy nim odpowiednio pokręcić — jest skrytka. Znalaziono w niej pukiel włosów i... wiersz, a właściwie dłuższy fragment wiersza. Można domyślać się, że jego autorem jest Krasiński. Wskazuje na to list poety do Delfiny, z 13 lutego 1842 roku, w którym Krasiński objaśnia ukochanej treść utworu, „bo zda mi się, że nie rozumiałaś nic o tym wszystkim” — jak pisze. I dalej: „Im mniej co ma życia, tym dłuższy byt. Dlatego też to, co wieczne, wcale z tutejszym czasem nie zachowuje rachunku i miary; tym, że wieczne, nad wszelki czas wyższym jest; musi więc jako objawienie objawiać się w czasie, więc musi błyskać. Tu więc jako chwila staje, a tam jest jako wieczność”.

Nie ulega wątpliwości, że chodzi tutaj o odnaleziony wiersz. Nie był on nigdy drukowany — może wiązał się z jakimiś przeżyciami, których zarówno Zygmunt jak i Delfina nie chcieli ujawniać. A może po prostu zatrzask owej skrytki w wachlarzu zaciął się i utwór utkwiał w nim jak perła w muszli. Zdaje się potwierdzać to przypuszczenie fakt, że i dziś jeszcze zamknięcie skrytki zaczyna się i tylko szczęśliwemu trafowi zawdzięczamy otwarcie go. Zresztą przyczyny schowania wiersza w tym wachlarzowym skarbczyku wydają się nieistotne wobec odnalezienia nieznanego utworu Krasińskiego.

Na ostrej grani dzikiej Alpów skały,
Kędy się przepaść rozwiera urwiskiem,
Śród śniegów białych, wieczyste zlodniałych
Ujrzałem cię, białą jako one,
I zdałaś mi się nadziemskim zjawiskiem.
Oczy, promienni słońca rozpięknione
Wzniosłaś ku górze a przestwór powietrzny
Ocz przeblękitnił ci zrenicę jasną.
Byłaś jak anioł, podobny serdecznym
Duchom, wysnutym z pragnień, przeczuć

Co postać biorą tych, których się kocha.
Lecz pierzełła chwila niepowrotna, płocha
Nimem nią cheiwie nasycił swe oczy
I zesłał niżej, w jakieś mgliste strony,
Niżej — w doliny, jary ciemne, ciasne
Jak grób posepny, głazem przywałony.
Zda się, kamienne to światła omętarze
Dusz znicestwionych, przedziejących w skały.
I tumem stanął, i tu ciębie marzę

Ty najpiękniejsza, co miałem na ziemi.
Czolo blednieje, pierś oddycha szalem,
W jedną się zspala z tymi przewiedleml
W nicość duszami, co z tumanów mgiel tych
Wstały żalobne z wiecznego więzienia
Niewidnych oków krajin w mgłach rozpiętych,
I pną się w górę i nikną w oddali.
Patrz, jako błysną chwila objawienia
Co z czasem płynie nie na jednej fali,
Bo co jest wieczne, to dopełnień tyła
Nad czas jest wyższe, że z nim nie ma miary,
Więc dla nas błyska jedno krótką chwila.
Z otchłani progów jednowietrznie lecą
Kędy kraj ojców i niezbytej wiary,
Choć czola próchnem nicości im świecą,
Znać w nich potęgę i przeszłość świetność,
Co iskrą Ducha kładnie się na głowy
I przemonarsza w Tradycji szlachetność
I win ich zbawia.

Młodzi pisarze

Marta Wyka

W Ogólnopolskim Zjeździe Młodych Pisarzy uczestniczyłam chwilę, więc to, co napiszę, będzie zapewne nieobiektywne. Ale jednak to uczynię, jako że przez ostatnie lata pisarze raczej mieli skłonność do chowania się, niż do publicznych manifestacji, że oto są młodymi pisarzami, wnosząc więc wolno, że czasy dla pisarzy również się zmieniły. Mam duże doświadczenie w byciu młodym twórcą, ponieważ — było to dawno — również kręciłam się wokół Kół Młodych (jako młody krytyk) i pamiętam tę atmosferę, która z grubsza tym się charakteryzowała, że młodzi twórcy bardzo chcieli zostać średnimi i starymi twórcami, chociaż, o dziwo, o tych starych wyrażali się z przekąsem.

Teraz jakby inaczej: starzy twórcy zdawali się w ogóle nie interesować młodych — jako punkt odniesienia — oni byli zainteresowani sobą. Mają swoich krytyków, z nimi się kłócą, godzą albo nie godzą, mają swoje pisma i w nich się wypisują, mają swoje pojęcie wolności artystycznej. Nawet próbują odświeżyć anarchizm — czego, według mnie, dowodem niektóre wystąpienia Brutonu. A więc jest środowisko, i bardzo dobrze, że młodzi pisarze się zjechali i skupili, chociaż wątpli o zasadności takich ruchów znany samotnik profesor Szymański.

Wysłuchałam referatów na temat młodej poezji i młodej prozy. Muszę powiedzieć, iż zadziwiła mnie ilość młodych twórców. Nazwiska padały gęsto, objawiały się nurty i tendencje, narastały konflikty (międzytekstowe), słowem, organizował się świat młodej literatury. Stałam twarzą w twarz wobec zjawiska niezbyt dobrze rozpoznanego, a już na pewno nieznanego czytelnikowi. To zbiorowe pisarskie ciało dojrzewa i nabiera kształtów jakby bez świadków z zewnątrz.

Uderzyła mnie jedna sprawa: brak mówienia o polityce. Odbieram to z ulgą i myślę, że tutaj dopiero młodzi pisarze wchodzi na jakąś nową drogę. Chętnie bym ich na tej drodze popychała do przodu, aby przypadkiem nie zawrócili i nie zaczęli się wikłać w dużą i małą politykę, która deformuje literaturę, chociażby nawet komeraże podejmowane były w najlepszych intencjach.

Młodzi pisarze chcą, żeby ich uporządkowano. I nie chcą tego jednocześnie. Jak już będą nazwani, jak już będzie wiadomo, kto jest kim i dlaczego, zaczną się robić nudno. Przed młodymi pisarzami otworzył się szeroki świat wolności, rozumiany bardzo szeroko i wielostronnie. Dlatego jako swego rodzaju anachronizm odebrałam nawoływanie jedne-

go z krytyków (młodych) aby się przypisać jakiejś tradycji, aby nie zrywać więzów z nią itd. Myślę, że to powinno przyjść samo, a w ogóle tę układankę logiczną wiążącą literaturę współczesną z tym, co było wcześniej, sporządzają przede wszystkim historycy literatury i nie należy im odbierać chleba. Oni i tak wymyślą tę tradycję w odpowiednim momencie.

Młodzi pisarze robili wrażenie ogromnie poważnych. Bardzo serio. Miałam już kiedyś okazję pisać w Nagłosie, iż najbardziej brakuje młodzieży nuty ironicznej i autoironicznej w literaturze. Tutaj mogą się oczywiście mylić, ponieważ nie wiem, czy w kontaktach pozareferatowych młodzi pisarze nie popadli w zdrowy chichot, który stwarza dystans, w śmiech Gombrowiczowski i Mrozkowski, który mógłby otworzyć inne perspektywy. Pokolenie, które przychodziło na świat w latach 60. i 70. narodziło się z bakcylem powagi, który jest — być może — wieczny i będzie ich odróżniał od innych.

Czasem wykonują oni gesty blażeńskie, to prawda. Zatem wesołość blaźnów byłaby im właściwa? Otwierają się tutaj tereny tak tradycyjne, że szybko się z nich wycofuje. Ostatecznie uczestniczyłam tylko w 1/4 Ogólnopolskiego Zjazdu Młodych Pisarzy.

Andrzej Zaręba przedstawia:



HYDE PARK czytelników

Dzisiaj w Hyde Parku miejsce dla MAGDALENY BOKSY, 18-letniej uczennicy VI LO w Krakowie, która już debiutowała na naszych łamach swoją pracą z olimpiady na temat wiersza Ewy Lipskiej. Teraz podąża w ślady Lipskiej jako poetka.

Rozmowa

To tak wspaniale zobaczyć przed sobą słowo
Zmierzyć jego długość i szerokość
poprzez głębokość dotrzeć do sensu

Słowa lecące z dwóch stron
łączą się w jedno
lub rozsypują w proch
Czasem trafiają w sedno
Czasem w próżnię

Z powrotem do ust wypychane
wychodzą znowu

To tak wspaniale zobaczyć przed sobą słowo

Ogłoszenie

Do wszystkich!
Poszukuję własnego cienia
(zaznaczam: mały, skulony i chudy)
zgulbił się na drodze miłczenia
niedaleko krainy obłudy
Może palić ironię jak fajkę
(rozmarzonymi łzami ją gasić)
albo poprosi „opowiedz mi bajkę”
jakby bał się złudzenia stracić
Poszukuję własnego cienia
(miejsce, znalazca, nagroda — nieważne)
poszukuję sensu miłczenia
może w czwartym wymiarze.

Niepolitycznie o polityce

W pierwszych miesiącach stanu wojennego spotkałem w pociągu sympatycznego kapitana lotnictwa, który wracał ze szpitala wojskowego. „Wie pan”, powiedział, „sporo tam teraz pacjentów, wołą przeczekać. Tylko niech pan nie wierzy, że ci na górze z Jaruzelskim to polskie wojsko, od pułkownika każdy po «Woroszyłowce» w Moskwie, już ich tam dobrze przeświecił, nim dadzą awans”. Zadaniem ministra Kaczyńskiego powinna być jak najszybsza wymiana kadry dowódczej. Deklaracje lojalności, ludziom przywykłym płaszczyć się przed każdą władzą, przychodzą podejrzanie łatwo, ale do niczego — gdyby rzeczywiście wydarzyło się coś groźnego — nie zobowiązują.

W tej sytuacji decyzja, by powoływać do wojska jedynych żywicieli rodzin to albo pomysł zrodzony w mózgu kaprała albo co gorsza, odwracanie uwagi od spraw naprawdę ważnych czyli po pierwsze, reformy kadry oficerskiej, a po drugie, nawiązania jak najściślejszych kontaktów z NATO. Dobrą stroną tej niefortunnej decyzji będzie chyba tylko zaktywizowanie polityczne młodzieży, która wreszcie pojmie, że należy mieć wpływ na decyzje, które biją po głowie.

Jan Prokop

DEKADA LITERACKA — tygodnik kulturalny. Wydawca: Wydawnictwo „Gazeta Krakowska”, Spółka z o.o. Adres: 31-072 Kraków, ul. Wielopole 1, IV piętro. Redaguje zespół: Leszek Elektorowicz, Krzysztof Lisowski (sekretarz), Jerzy Lohman, Włodzimierz Maciąg, Jan Piekło, Jan Prokop, Bogdan Rogatko, Dorota Terakowska (redaktor odpowiedzialny), Teresa Walas, Marta Wyka. Współpracują: Danuta Abrahamowicz, Stanisław Balbus, Wacław Iwaniuk (Toronto, Kanada), Stanisław Lem, Leszek A. Moczulski, Tadeusz Nyczek, Leszek Polony, Stanisław Rodziński, Marek Rostworowski, Jan Józef Szczepański, Wisława Szymborska.

ISSN 0867-4094